BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

kamena

LUBLIN 17 II 1980 NR 4 (698) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

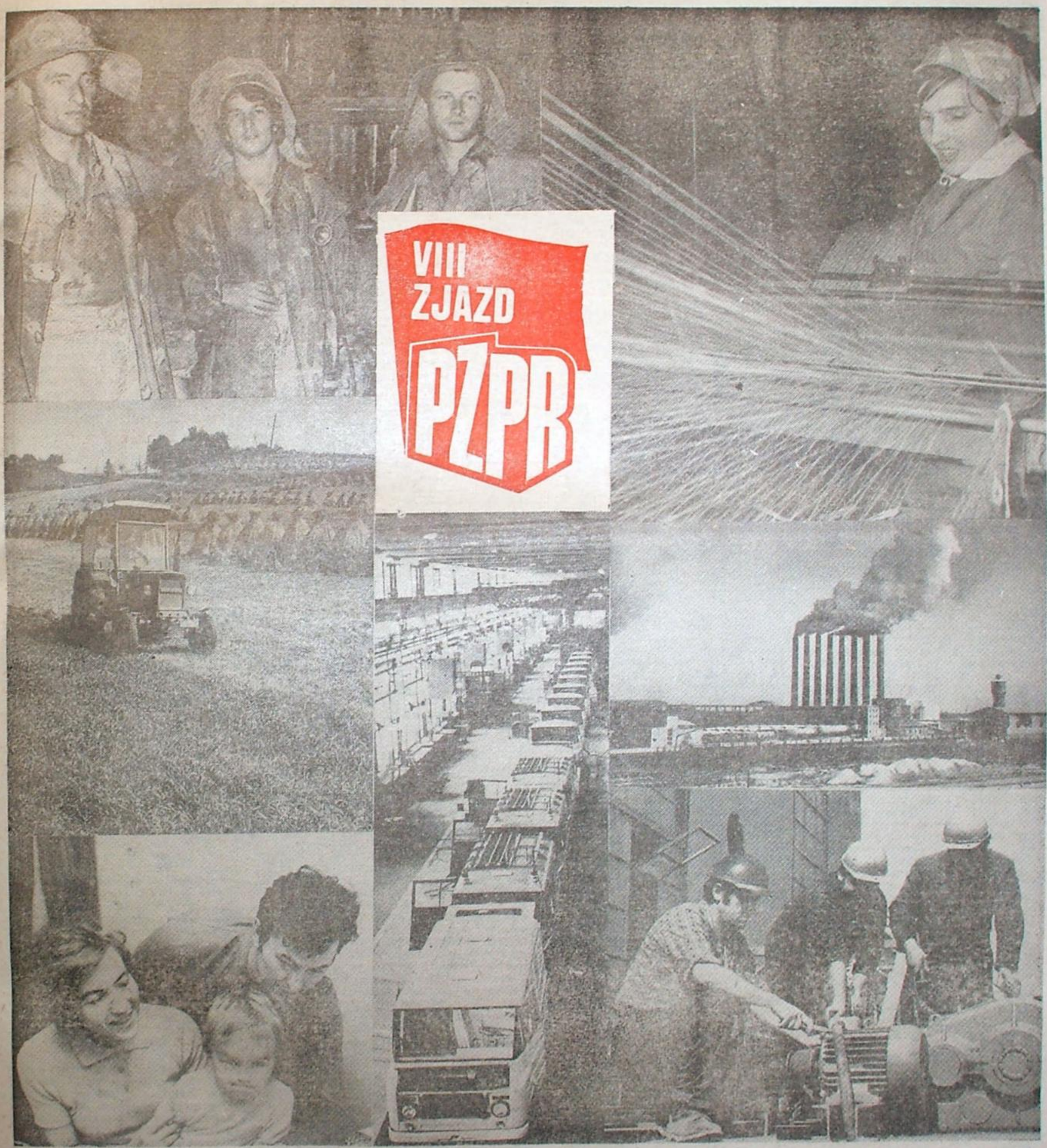

Fot. Waldemar Stępień

Towarzyszymy obradom VIII Zjazdu

z notatnika

Marek Adam Jaworski

3 II. „W słońcu i w deszczu" — nowy serial telewizyjny. Scenariusz napisał Marian Pilot. Już w samych dialogach widać rękę dobrego literata. Kapitalna scena z podziałem spadku. Ostatecznie syn, który zostaje na roli, domaga się wsparcia od braci i siostry, którzy opuścili wieś i zamieszkali w miastach. Sądzę, że w wielu rodzinach, związanych ze wsią, serial rozpęta dyskusje i pobudzi do myślenia. Zdania na pewno będą podzielone, ale to temat sam w sobie. Czekam na dalsze odcinki.

5 II. Dziennikarskie spotkanie w Warszawie z udziałem nie tylko tych publicystów, którzy zajmują się problematyką rolną. Temat — gospodarka żywnościowa.

Z wystąpień referentów notuję pewne istotne dane. W ostatnim dziesięcioleciu prawie trzykrotnie wzrosły nakłady inwestycyjne na gospodarkę żywnościową. Produkcja towarowa rolnictwa zwiększyła się o blisko 46 proc. Pogłowie bydła wzrosło o 20 proc., zaś trzody chlewnej — o 60 proc. Wystąpiły jednak dysproporcje między wzrostem produkcji roślinnej a zwierzęcej. Roślinna wzrastała rocznie o 0,7 proc. (oczywiście przeciętnie, bo mieliśmy i lata nieurodzaju), zaś zwierzęca — o 3,8 proc. Wieś otrzymała więcej maszyn, ale i potrzeby stają się coraz większe.

Przewiduje się, że do 1985 r. milion gospodarstw indywidualnych zmieni właścicieli. W około siedmiuset tysiącach gospodarkę przejmą synowie i córki. W jednej trzeciej gospodarstw nastąpi więc zmiana pokolenia. Wielu spośród młodych pragnie powiększyć areał ziemi, uczyni się wszystko, aby wyjść naprzeciw tym zamierzeniom.

Industrializacja, tak konieczna, rozbudowa miast i osiedli powodują, że w ciągu trzech lat ubywa ponad 100 tysięcy ha ziemi. Przed dziesięcioma laty przypadało na mieszkańca Polski 0,61 ha ziemi, dziś zaledwie 0,51.

Tak, ale w Anglii tylko 0,24, w RFN — 0,14, we Włoszech i w Austrii — 0,22, zaś w Belgii i Luksemburgu — 0,09.

Problem polega na właściwym użytkowaniu ziemi. Argentyna zbiera wprawdzie po 18 q pszenicy z ha, ale ma olbrzymie połacie, natomiast Holandia — 60 q, RFN — 49 q, NRD — 45 q, Czechosłowacja — 44 q. My w Polsce zebraliśmy w 1970 r. 23 q z ha, zaś w 1978 r, ale to był wyjątkowo dobry rok — 32,6 q.

Na wzrost plonów wpływa odpowiednie nawożenie gleby, stosowanie środków mających na celu ich ochronę. Nawozy docierają jednak na wieś w mniejszych ilościach niż zaplanowano, zdarza się, że dostawy nie są terminowe, a przecież gleba nie może czekać.

Istotna jest kultura upraw. W 1978 r. powyżej 30 q zbóż z ha zebrały tylko województwa: zamojskie, wrocławskie, wałbrzyskie, toruńskie, szczecińskie, poznańskie, opolskie, leszczyńskie, legnickie, elbląskie i kaliskie. W ub. r. barierę „trzydziestki" przekroczyło jedynie woj. szczecińskie.

Woj. szczecińskie jest zresztą rekordzistą w kraju: w ciągu kolejnych siedmiu lat (1973—1979) plony zbóż wynosiły tu minimum 30 q z hektara. Co jest podstawą tego sukcesu?

St. Pawłowicz pisze w „Głosie Szczecińskim" z 1—3 lutego br.:

Jeszcze w latach sześćdziesiątych szczecińscy działacze partyjni, gospodarczy przywozili w bagażnikach samochodów osobowych z zagranicy (z NRD?) po worku, po dwa dobrych odmian pszenicy czy jęczmienia. (W zamian dawali dobre odmiany kartofli). *Wbrew skostniałym, biurokratycznym zasadom oficjalnej rejonizacji odmian zaczęli nasi rolnicy siać wydajne pszenice: „Eros", „Fanal", „Starke". Sypały pięknie, rozprzestrzeniały się gwałtownie: z powiatu do powiatu, z PGR-ów do rolników indywidualnych. Wyrwanie się z kręgu starych, beznadziejnych odmian „Szelejewskiej", „Wysokolitewki", „Ostki", „Blondynki", „Podolanki" było pierwszym krokiem na drodze do wysokich urodzajów. Potem, kiedy zerwano już ze skostniałą rejonizacją, agronomowie w województwach centralnych musieli zdzierać zelówki i gardła, żeby przekonywać chłopów do nowych odmian. U nas tego problemu nie było. Najlepszym agitatorem było pole PGR-u, obsiane nową odmianą...*

A więc właściwe odmiany zbóż. Ale nie tylko. Do wzrostu plonów w woj. szczecińskim przyczyniły się również samoloty. Dzięki nim „dokarmiano" nawozami kłoszące się i dojrzewające zagony zbóż. Zamiast jednej, dwóch dawek stosowano trzy i czterokrotne zasilanie zboża azotem. *Bez samolotów* — pisze Pawłowicz — *zabieg taki byłby niemożliwy. I już można było oglądać pod Karskiem, Pyrzycami, Zabowem pola sypiące po 50—60 q pszenicy z ha...*

6 II. W łódzkich „Odgłosach" — „Benzynowy serial" pióra Adama Lewaszkiewicza. *Sprawa zaczęła się jak wiele podobnych. Na początku 1979 roku jedna z pracownic Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Przemysłu Maszynowego „Budomasz" przeglądając rachunki dostarczone przez operatorów ciężkiego sprzętu spostrzegła na jednym z dokumentów niewielką kilkuzłotową pomyłkę w obliczeniach. Księgowa chciała się skontaktować z kierownikiem stacji benzynowej i poprosić go o poprawienie rachunku. Ponieważ w książce telefonicznej nie mogła znaleźć stacji o podanym na rachunku numerze — zadzwoniła do łódzkiej dyrekcji CPN, prosząc o podanie telefonu lub adresu. W dyrekcji poinformowano ją, ku jej zaskoczeniu, że stacji o podanym numerze nie ma w Łodzi. (...) Zawiadomiono milicję.*

Co było dalej? W „Budomaszu" trwała kontrola rachunków. Niejaki Lesław Mariusz Ukleja (rocznik 1936), bezpośrednio zainteresowany sprawą, włamał się do biurowca przedsiębiorstwa i skradł kompromitujące dokumenty, które następnie zniszczył. Ukleja, więziony zresztą uprzednio, pracował w „Budomaszu" na stanowisku starszego technika do spraw kontroli technicznej. Kiedyś udało mu się wejść w posiadanie bloczków rachunkowych na zakup paliwa i pieczątki „Opolskie Przedsiębiorstwo Obrotu Produktami Naftowymi". Słowo „Opolskie" zamienił na „Łódzkie", przerobił również numer stacji benzynowej. Ukleja po rozpoczęciu śledztwa zaczął się ukrywać. Planował jednak dalsze wypady, i to poważniejsze, skoro nie zawahał się przed zamachem na strażnika, któremu odebrał pistolet maszynowy, raniąc go przy tym nożem.

Milicja wpadła na trop przestępcy. On i jego kumple stanęli przed sądem, wyroki zapadły surowe. „Budomasz" poniósł straty w wysokości ponad 1,3 miliona złotych. Nadużycia popełniono również na szkodę innych przedsiębiorstw.

Chciałoby się zapytać: a gdyby nie zwykły przypadek? Ile by jeszcze nagrabił społecznych pieniędzy? I jak to w ogóle było możliwe?

8 II. W miesięczniku „Opole" interesujące rozważania Jerzego Łokcia na temat modernizacji Bytomia. Redakcja zamieściła artykuł na zasadzie „wolnej trybuny", niejako dystansując się od poglądów autora, a może ściślej — nie popierając go. Rzecz streszczę krótko. Władze miejskie postanowiły zburzyć secesyjne centrum handlowe, które miastu służyło przez lat osiemdziesiąt. W kwietniu—czerwcu ub.r. metodą minerską przystąpiono do dzieła. Łokieć pisze: *Wartość zburzonej w Bytomiu architektury szacuje się na około pół miliarda złotych, a wartość architektury nowoczesnej, jaka ma stanąć w miejsce secesyjnej, wyniesie zapewne tyle samo złotówek. Liczbowy rachunek strat jest tu przerażająco prosty, skoro opiewa w przybliżeniu na miliard złotych...* I dalej: *Koncepcja rozwalenia centralnego układu starego Bytomia jest nie do przyjęcia w żadnej wersji. Nowoczesna architektura niech powstaje coraz piękniejsza i coraz bardziej funkcjonalna, ale na obrzeżach miasta, a historyczny Bytom trzeba zostawić w dotychczasowej szacownej szacie i pielęgnować jego architekturę...*

Co się stało, to się już nie odstanie, ale Łokieć przestrzega przed dalszym dziełem zniszczenia, czy — jak kto woli — dalszą modernizacją Bytomia. Jego artykuł jest dość przekonywający, zwłaszcza gdy padają konkretne liczby, np. o zburzeniu 630 mieszkań. Ale przecież na tym nie koniec. Interesuje mnie jednak: w jakim stanie znajdowały się te mieszkania? Czy ich remont był opłacalny? Bywa przecież i tak, że warto zburzyć dwupiętrową kamienicę, aby na jej miejscu wznieść wieżowiec.

Szczerze mówiąc, nie mam zdecydowanego poglądu. Kiedy czytałem ten artykuł o Bytomiu, miałem na myśli Lublin. Ulica Lubartowska, przy której domy budowano byle jak i byle szybciej, moim skromnym zdaniem, w całości nadaje się do wyburzenia. Zresztą kamienice same się tu walą. Skąd jednak wziąć fundusze, aby podjąć taką decyzję?

9.II. W[ładysław] M[achejek] w swoim obserwatorium na łamach „Życia Literackiego" ze swadą pisze o spotkaniu grupy dziennikarzy z Edwardem Gierkiem. Przypomina, że wysokiego mniemania o słowie pisanym był Lenin. *Pouczał: możesz nie być wielkim mówcą, wielkim organizatorem, wielkim propagandystą, a mimo to uosobisz wszystkie te potężne wartości, jeśli celnie piszesz i drukowanym słowem docierasz do mas ludowych; właśnie w ten sposób stajesz się utysiąckrotnionym mówcą, organizatorem, propagandystą.*

Dziennikarze — stwierdza autor — *nie żyją za tamami, rozmówcy nie żyją za tamami. W życiu nie ma tematów tabu, dziennikarze wyrażają to po swojemu. Naczelny redaktor „Nowych Dróg" zastanawiał się nad tym, dlaczego jego miesięcznik nie podejmuje tematu pod wywoławczym hasłem „Socjalizm a części zamienne". Ja też nie rozumiem, dlaczego, przecież gorszym jeżom piłowało się kolce. Ba, tu chodzi o części zamienne do samochodów, pociągów, pralek, itp., a nie o przenośnie. Ostro uderzano w objawy korupcji, w łapownictwo, nowobogactwo, w chwiejnych lub sztywno biurokratyczny system zarządzania, w rozwierające się nożyce zarobków i sytuacji społeczno-socjalnych. W planowanie. W krytykanctwo malkontentów, które uwzględnia tylko stosunek do władzy, a omija stosunek do pracy i obowiązków...*

Z częściami zamiennymi do samochodów, a właściwie z problemem ich braku, ciągle mam ostatnio do czynienia. Chcę nabyć piórka do wycieraczek (co za drobiazg!), nie ma, proponują mi cały komplet. Zamiast kilku złotych muszę wydać kilkaset. Wcale się do tego nie palę i w czasie deszczu muszę wytężać wzrok. Znajomy opowiadał mi (nie sprawdzałem, ale rzecz sygnalizuję), że trudno mu nabyć części zamienne do telewizora, który wypadł już z produkcji. A przecież przy zakupie nowego telewizora można oddać stary, wówczas otrzymuje się pewną bonifikatę. Te stare telewizory idą jednak podobno na złom, a należałoby je rozmontować ku ogólnemu pożytkowi.

W tym samym numerze „Życia Literackiego" (szóstym) interesujący artykuł Zbigniewa Bauera na temat kultury pt. *Do czego zmusza chudszy portfel.* Autor przedstawia dane z ostatniego Rocznika Statystycznego. Wynika z niego, że np. w 1970 r. mieliśmy w Polsce 2792 kina stałe, a w 1978 r. zaledwie 1937. Biblioteki: 1970 r. — 5541, 1978 — 2353. Powstały wprawdzie placówki większe, które wchłonęły zasoby mniejszych, ale droga po książkę uległa w ten sposób wydłużeniu. Przykłady można mnożyć.

Liczby liczbami, ale szczególnie niepokoi poziom kadry w placówkach upowszechniania kultury. Badania pracy GOK-ów, których wyniki opublikowała „Wieś Współczesna" (nr 10/79), wykazały, że żaden (!) z dyrektorów badanych placówek nie miał odpowiedniego przygotowania zawodowego. Nadal zbyt mały jest procent pracowników z wyższym wykształceniem i średnim specjalistycznym. Nadal w placówkach kulturalno-oświatowych pracują ludzie, delikatnie mówiąc, przypadkowi, traktujący swoją pracę jako formę oczekiwania na lepszą okazję...

10.II. Jutro rozpoczyna obrady VIII Zjazd PZPR. Jedzie nań jako delegat Henryk Pająk, kierownik działu literackiego naszej redakcji, prezes Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, a także — jako sprawozdawca — autor niniejszego.

Henryk Pająk, moim zdaniem z przesadnej skromności, nie chciał się przed Zjazdem wypowiadać na łamach własnego pisma (aczkolwiek w tym numerze czytelnicy znajdą jego relację o innym delegacie na Zjazd). Niemniej zabrał głos w „Tygodniku Kulturalnym". Pozwól, Heńku, że Cię zacytuję:

...W jednej ze swych dziennikarskich publikacji stwierdziłem kiedyś, że gdyby w każdej miejscowości gminnej zebrać na placu wszystkich ludzi etatowo czy społecznie odpowiedzialnych za kulturę, zebrałby się spory tłum. Gdzie oni są na co dzień? Pytanie nadal aktualne.

Warunki materialne kultury, owa baza. Nędzne, nie ogrzane izdebki bibliotek i klubów, bezsilne kadrowo Gminne Ośrodki Kultury, najniższa w hierarchii gminnej pozycja pracownika kultury, alienacja środowiska nauczycielskiego, tych odwiecznych do niedawna tytanów kultury na wsi: rozpadające się budynki kin i półki księgarń, na których stoją bublę, na których widać jakieś książki, tylko nie widać literatury.

Ale to zaledwie opis sytuacji, dość powszechnie znanej. Jakie wyjścia? Nie sądzę, że Zjazd je poda i skodyfikuje ale z pewnością stanie się jakąś znaczącą cezurą w tej dziedzinie...

Częściowo zgadzam się z Henrykiem. Chciałem tylko zauważyć, że właśnie w małej księgarni na tzw. dalekiej prowincji kupiłem ostatnio kilka książek, których bezskutecznie poszukiwałem w Lublinie I to była bardzo dobra literatura, na której najwidoczniej nikt się tam nie poznał...

W prasie literackiej i społeczno-politycznej wiele artykułów na temat rozpoczynającego się Zjazdu. W „Życiu Gospodarczym" bilans osiągnięć (choć i nie tylko osiągnięć) Polski lat siedemdziesiątych. Dokładna lektura tego tekstu uzmysławia, o ilu poważnych dokonaniach tej dekady zapominamy na co dzień..

W następnym numerze „Kameny" m.in.:

- **Rak nie musi być śmiertelną chorobą — rozmowa z wybitnymi lekarzami.**
- **Po pożarze w teatrze Fredreum pojechał do Przemyśla przedstawiciel „Kameny", Bronisław Kowalski, który teraz dzieli się swymi spostrzeżeniami.**
- **Wielkie małe sprawy — tym razem o tym, jak się mieszka na Kalinowszczyźnie, w nowej dzielnicy Lublina.**
- **Srebro w Kazimierzu, czyli o niecodziennym muzeum, które wzbudza zainteresowanie nie tylko miłośników sztuki.**
- **Życie na dworze. Pierwszy odcinek pt. „Europa na klęczkach".**
- **„Ziemia i Pieśń" — dwie kolumny poświęcone twórczości ludowej.**

Umacniają się marksistowsko-leninowskie nauki społeczne, rośnie ich rola poznawcza, ideowo-wychowawcza, prognostyczna i aplikacyjna.
(Wytyczne KC na VIII Zjazd PZPR)

NAUKI BRZEMIENNE NADZIEJĄ

Roman Tokarczyk

WŚRÓD osiemdziesięciu ośmiu problemów uwzględnionych w Wytycznych odrębne miejsce zajęły zagadnienia nauki. Dokument ten eksponuje najbardziej doniosłe osiągnięcia polskiej nauki w ostatnich latach, określa nowe obszary szczególnie ważnych dla naszego narodu eksploracji naukowych, ukazuje relacje pomiędzy polityką partii a badaniami naukowymi. Wiążąc wielkie nadzieje z rozwiązywaniem przez naukę zadań gospodarczych naszego państwa, Wytyczne nie pomijają jednak zupełnie także innego jej znaczenia, występującego przede wszystkim w naukach społecznych. Za najbardziej doniosłe dla nauk społecznych zadania badawcze uznają dociekania nad potrzebami, warunkami życia i zainteresowaniami społeczeństwa polskiego oraz nad kompleksowymi syntezami dziejów i kultury naszego narodu. Wnikliwa lektura tego dokumentu musi rodzić wiele refleksji, zarówno natury ogólnej jak i bardziej szczegółowej.

Skala zadań stawianych przez Wytyczne przed polską nauką potwierdza zawrotną wprost karierę nauki, jaką zrobiła ona w naszej epoce. Lista osiągnięć współczesnej nauki jest bardzo długa, przypomnijmy zatem przynajmniej te najważniejsze. Z nauki zrodziła się niezwykle doniosła dla kształtu wielu spraw naszego globu rewolucja naukowo-techniczna. Z pomysłów naukowych czerpią soki żywotne dynamicznie rozwijające się siły wytwórcze. Z nich to wyłaniają się nowe wzory wyższej jakości życia człowieka. Z wiarygodnych obietnic nauki wyrastają nadzieje lepszego jutra ludzkości, ale i przestrogi przed nadmiernym optymizmem. Nauka tak dalece przeniknęła do współczesności, że bez zrozumienia jej ducha, uznawania doniosłego jej znaczenia i znajomości ogólnych jej perspektyw rozwojowych, nie sposób za wymaganiami teraźniejszości podążać.

Powszechne niemalże nadzieje związane z nauką podzielają także politycy. Wiążąc jej osiągnięcia najściślej z własnymi przeobrażeniami społeczeństw, wyrażają wobec niej swój entuzjazm, gdy przychodzi im ona w sukurs, popadają w zwątpienie wobec jej potencjałów, gdy nie potrafi sprostać spiętrzonym węzłom problemów społecznych. Nauka bowiem odnoszona do konkretnych potrzeb praktyki nierzadko niestety ujawnia, że nie zawsze doskonała spójność teoretyczna programów zapewnia skuteczność opartych na nich przedsięwzięć. Owa ambiwalencja stosunku wobec nauki przybiera zarówno kształty globalne, jak i lokalno-krajowe. Nadzieje przeplatają się ze zwątpieniem w zakresie poszukiwania przez uczonych najlepszych rozwiązań globalnych trudności energetycznych, żywnościowych, ekologicznych, demograficznych i politycznych. Jak bardzo ściśle są te trudności związane z polskimi przedsięwzięciami lokalno-krajowymi, Wytyczne odzwierciedlają to nad wyraz plastycznie.

Drogi do trafnych rozwiązań globalnych problemów ludzkości prowadzą poprzez spełnianie przez naukę jej funkcji poznawczych. Funkcje te polegają właśnie na rozwiązywaniu nowych i dla ludzkości doniosłych problemów. Jeśli mają być właściwie rozumiane, muszą unieuchronnie wiązać się z ryzykiem, wątpieniem i konfliktem. Każda decyzja podejmowana przez człowieka nauki, jeśli nie dotyczy zagadnień banalnych, plasuje się na pewnym poziomie ryzyka poznawczego. Wybór decyzji ryzykownej, ale brzemiennej wiarygodną nadzieją, może potykać się o rozbudowane bariery instytucjonalizacji. Szansa osiągania wyników znaczących może polegać na przyzwoleniu przełamywania tych barier i przezwyciężania bladej przeciętności w nauce.

Badacz humanista nie może nie wyznawać zasady, że jego powołaniem jest twórcze wątpienie. Tylko bowiem twórcze wątpienie jest zdolne przeobrażać ludzką świadomość dla kształtowania takich postaw, które odpowiadają każdorazowo aktualnym fazom rozwoju społecznego. Wątpienie twórcze, wyrażające dialektykę ludzkiego myślenia, buduje pomosty łączące teoretyczne sformułowania z procesami bieżącej praktyki. Dostrzec w nim nie trudno rozsądnego sojusznika dojrzałej ideologii, której wskazania, chociażby najsłuszniejsze, bez trafnej ekspertyzy naukowej i rzetelnie zrealizowanych w praktyce programów nie mogą liczyć na spektakularne sukcesy.

Humanista przyjmujący zasady materializmu dialektycznego uznaje maksymę Heraklita, że „konflikt jest władcą i ojcem wszystkiego". Dostrzega przecież doniosłe znaczenie twórczego konfliktu dla rozwoju nauki i jej wpływ na losy przeobrażeń społecznych. Rozwiązania konfliktów naukowych prowadzą do rozszerzenia kręgu ludzkiej wiedzy i stwarzają szanse usuwania konfliktów społecznych. Spory poznawcze i budujące polemiki społeczne można przyrównywać do roli drożdży w procesie fermentacji: pobudzają dalszy rozwój, klarują jednorodność materii, zbliżają do siebie składniki odmienne. Bez twórczych sporów poznawczych nauka nabiera cech zbiurokratyzowanego urzędu, a bez konstruktywnych polemik społeczeństwo traci impet rozwoju warunkujący jego postęp.

Pojmowanie poznawczej funkcji nauki mieści się pomiędzy skrajnością pełnej autonomii uczonych, a skrajnością zupełnego jej podporządkowania dyrektywom instytucji pozanaukowych. Tylko unikanie obu z tych skrajności umożliwia naukom społecznym ukazywać, że obok informacji o strukturze wszechświata istnieje wiedza o strukturze człowieka. Cywilizacja nastawiona na poznanie zewnętrznej rzeczywistości posiada skromną wiedzę o ludzkim wnętrzu. Właściwy sens nauk humanistycznych objawia się dopiero wówczas, gdy celem ich badań pozostaje człowiek usytuowany w różnych konstelacjach wszechświata, globu ziemskiego i własnego społeczeństwa. Toteż godne są najwyższej aprobaty wysiłki tych uczonych, którzy dostrzegając humanistyczny sens wszelkich badań naukowych, rozważają problemy człowieka nie tylko w wymiarze społecznym, ale i biologicznym, psychologicznym, genetycznym i antropologicznym. Jedynie wszechstronne badania nad sprawami człowieka umożliwiają właściwe uporządkowanie zjawisk społecznych, oczyszczają umysły ze złudzeń i mitów, doskonalą ludzkie myślenie, wzbogacają kulturę i ukazują prawidłowości ukryte pod powierzchnią zjawisk.

Rzetelna wiedza naukowa prowadzi nie tylko do zrozumienia sensu świata, określania sposobów jego przeobrażania, lecz również i pobudza do działania. W tym zapewne upatrują Wytyczne rolę ideowo-wychowawczą nauki, dostrzegając jej znaczenie motywacyjne jako siły napędowej jednostkowego i zbiorowego działania. Jest to rola szczególnie ważna w sytuacji przesycenia współczesnego świata wydarzeniami o skutkach dotykających wszystkich członków ludzkości. Humanistyka wrażliwa na problemy współczesności jest zdolna do wyjaśniania, gdzie przebiegają linie podziałów klasowych, narodowych i państwowych w sprawach o uniwersalnym zasięgu. Jest także zdolna do takiego kształtowania ludzkich postaw i umysłów, które uwzględniają harmonijne sploty czynnika sił wytwórczych z narzędziami politycznego oddziaływania na społeczeństwo, a oba łącznie naświetla w perspektywie troski o dobre zaspokojenie szerokiej skali ludzkich potrzeb.

Rozważając rolę prognostyczną nauki, pesymiści utrzymują, że prognozy krótkoterminowe są najczęściej niepotrzebne, a długoterminowe z reguły okazują się fałszywe. Pogląd ten należy odrzucić, wszak jeśli nauka ma zachować samoświadomość własnego rozwoju na szlakach od nauki „małej" do nauki „dużej", wręcz musi odczytywać ogólne przynajmniej kształty jutra. I nawet jeśli są to prognozy tchnące przesadnym optymizmem, ich potrzeba w nauce jest uzasadniona. Wprawdzie, jak pisał Marks, ludzkość jako całość „stawia sobie zawsze tylko takie zadanie, które można rozwiązać", jednakże badania prognostyczne mają właśnie wskazywać te zadania i szanse ich rozwiązania. W tym celu futurologia przenika w odległy i ciągle zagadkowy kosmos i bliski — ale równie zagadkowy — mikrokosmos natury ludzkiej.

Uzasadnione jest przekonanie, że węzły problemów polskiej rzeczywistości lat osiemdziesiątych splatają się coraz to ściślej z węzłami obaw i nadziei nauki polskiej. Dlatego też rozważania o przyszłości naszego narodu nie mogą nie zajmować w naukach humanistycznych miejsca o wiele bardziej znaczącego niż dotychczas. Niepokoi np. niemrawa reakcja naszej nauki na kolejne raporty uczonych Zachodu, a zwłaszcza głośne Raporty Klubu Rzymskiego. Te efektowne często, błyskotliwe nierzadko syntezy nie spotykają się u nas, jak dotychczas, z pogłębioną oceną i rzetelną krytyką. Splecione z reguły z prokapitalistycznymi siłami politycznymi, umiejętnie zacierają globalnym spojrzeniem lokalne trudności systemu. Bezkrytycznie upowszechniane w krajach socjalistycznych, sprzyjają procesom konwergencyjnym, usiłując zamazać oryginalne osiągnięcia socjalizmu.

Tym burżuazyjnym w swej istocie wizjom jutra nauka nasza powinna przeciwstawiać wizje własne, konkretyzowane na gruncie marksistowskiej koncepcji komunizmu i doświadczeń praktyki socjalistycznej. Społeczeństwa, nieświadome swych szans i zagrożeń istniejących w przyszłości, nie mogą świadomie kształtować swej teraźniejszości i jakże łatwo ulegają prymitywnym proroctwom. Jawność wiedzy i domniemań o przyszłości jest ważnym składnikiem demokracji socjalistycznej, wszak społeczeństwo dobrze poinformowane może skutecznie działać i światle przewidywać. Maksyma „wiedzieć, aby przewidywać; przewidywać, aby działać" w pełni zachowuje swoją aktualność.

Jest rzeczą oczywistą, że ogarniające całą materię społeczną prognozowanie naukowe domaga się wręcz jako swojej podstawy, odtworzenia syntetycznego obrazu teraźniejszości. Nie tylko dlatego, że najciekawsze i najpożyteczniejsze osiągnięcia naukowe powstają na styku różnych dyscyplin naukowych, ale i dlatego, że nauka w gruncie rzeczy jest jednością sztucznie rozczłonkowaną jej strukturami organizacyjnymi. Tylko syntezy naukowe są w stanie oddać przybliżony obraz wielości wzajemnych powiązań ciągle komplikujących się układów niesłychanie mobilnego świata współczesnego. Tylko syntezy naukowe, wychodzące poza dyscyplinarne opłotki, mogłyby zbudować teoretyczną podstawę dla ugruntowanych poznawczo prognoz naukowych. W naukach społecznych szanse takie stworzył przejmowany także przez nie rozwój cybernetyki, jedna z najciekawszych kart rozwoju nauki, oczekująca u nas jeszcze na pełniejsze zapisanie.

Archaicznie brzmi już dzisiaj krytyka utylitarnej roli nauki (Wytyczne nazywają ją rolą aplikacyjną), rozwijana ongiś m. in. przez filozofa Ernesta Renana, który pisał, że „nawyki życia praktycznego osłabiają instynkt czystej ciekawości". Współcześnie właściwe rozwiązania tej roli nauki znajdują się pomiędzy skrajnym pragmatyzmem a skrajnością koncepcji tzw. czystej nauki. W sytuacji dużych potrzeb ekonomicznych i uczynienia zadość ambicji przyspieszonego tempa rozwoju społecznego łatwo ulec pokusie zbyt pragmatycznego traktowania nauki. Obawy humanistów z tym związane dotyczą diagnoz nieautentycznych, ocen pospiesznych i niedojrzałych, dających zafałszowane oblicza rzeczywistości. Obniża to autorytet nauki, ośmiesza ludzi ją realizujących, a rezultaty ich pozornie naukowych ekspertyz nie sposób weryfikować w konfrontacjach z realnym życiem. Tutaj wyłania się niezwykle doniosły problem ochrony nauki przed wykorzystywaniem do realizacji obcych jej celów oraz problem właściwego z punktu widzenia potrzeb człowieka czerpania z rzeczywiście naukowych rozwiązań.

Nauka skoncentrowana na pospiesznym rozwiązywaniu problemów materialnych w niedostatecznym stopniu uwzględnia dylematy czysto ludzkie. Gorączkowe dążenie do przekuwania każdej informacji naukowej w technologiczno-gospodarczy instrument może okazać się przejawem koniunkturalnej krótkowzroczności. Nauki humanistyczne potrzebują szerszego oddechu i perspektywy badawczej, na ogół objawiając doniosłość swoich dociekań po upływie pewnego czasu. Harmonijnie łącząc to, co historyczne, z tym, co teraźniejsze, a to z kolei z tym, co przyszłe, potrzebują prognozowania społecznego nie unikającego rozważań nad alternatywami pesymistycznymi, jeśli tylko wynikają one z rzetelnych analiz naukowych. Warto tutaj zauważyć, że na naszych systemach edukacyjnych ciąży wciąż jeszcze nadmierne zaabsorbowanie przeszłością, nieporadność wobec teraźniejszości i niemal całkowita nieumiejętność myślenia w kategoriach przyszłości.

Właściwe realizowanie nałożonych przez Wytyczne polskiej nauce funkcji wymaga odpowiednich środków materialnych, zamykania wrót do nauki napierającym na nią koteriom pozanaukowym, rozwijanie jej więzi z przodującą nauką światową i uznania jej kompetencji w kwestiach społeczno-politycznych. Wypowiadając swoje nadzieje z nauką związane, trudno byłoby wierzyć, aby mogła ona rozwiązać wszystkie dręczące nas problemy i odpowiedzieć na wszystkie stojące przed nami pytania. Wyniesiona w naszym stuleciu na wyżyny społecznego uznania, jest bez wątpienia w stanie potęgować stale przeobrażające ludzkość moce sił wytwórczych. Do niej należą także obszary wyboru celów rzeczywiście godnych ludzkiego wysiłku i w nich należy upatrywać najgłębszą misję nauk społecznych obecnie i w przyszłości.

Kamena str. 3

Specjały z siarkowej gleby

Bronisław Kowalski

We wspaniałym klimatycznie i pachnącym Lublinie ostrzegano mnie, nim wyjechałem do Tarnobrzega, że tam natychmiast po wyjściu z autobusu smród zwala przybysza z nóg. Wysiadłem, powąchałem — miało śmierdzieć, ale nie śmierdziało. I poczułem się zawiedziony, bo być w stolicy polskiej siarki i się nie nawąchać, to jak być w Neapolu i nie umrzeć. W Zagłębiu, a konkretnie w „Siarkopolu", znaleziono na szczęście słowa pociechy:

— Niech się pan nie martwi, w piątek będzie śmierdziało w całej okolicy.

Zaczęło się już w czwartek w południe, akurat gdy wyjeżdżałem do Sandomierza, nie będzie więc opisu tranobrzeskich woni, ale można to sobie powetować, rozkoszując się zapachem zgniłych jaj. Są świeże dostawy w lubelskich sklepach.

Sandomierz mierzy swój czas stuleciami, Tarnobrzeg — dwudziestoleciem. Ale siarki, jej eksploatacji. I to dzieli miasta bardziej niż rzeka San i 9 kilometrów szosy. I do tego jakiej, skaranie boskie. Mniej więcej w połowie odległości — nie wiadomo dokładnie w Tarnobrzegu czy w Sandomierzu — są po prostu dzikie wykroty, a nie jezdnia. Nie trzeba być wielkim znawcą życia administracyjnego, by wiedzieć, że nienaprawiana jezdnia w połowie drogi między ośrodkami oznacza waśnie.

Niezgoda rozkwitła bujnie przed z górą pięcioma laty, gdy sandomierzanie dowiedzieli się, że nie po ich ulicach zdążać będą wojewoda i prezydent do swych urzędów. Był płacz i zgrzytanie zębów. Ileż serc się wówczas poruszyło, jaka szła dyplomatyka, jakie przewagi — do dziś wystarcza anegdot i emocji. Gorzki migdał to był dla sandomierzan, ale prawdę powiedziawszy wdzięcznym należy być tej najrozsądniejszej z możliwych decyzji, by siedzibę administracji wojewódzkiej nie pomieszczać w Sandomierzu. To była decyzja z której przed historią nie trzeba się będzie wstydliwie tłumaczyć.

W Tarnobrzeskiem trzy sprawy liczą się najbardziej: siarka, Sandomierz i pęd do kultury. W samym Tarnobrzegu wszystko, co się dzieje, pozostaje zawsze w jakimś stosunku do tej triady.

Siarka to nie tylko kopalnia, olbrzymia niecka, wygrzebana przez koparki, które mimo kolosalnych rozmiarów giną u jej dna i maleją z dala od powierzchni, nie tylko zakłady przetwórcze surowca — to całe miasto, zbudowane od nowa i nadal rosnące, które ucieka od siarki na północ, w kierunku Sandomierza. Nowe osiedla mieszkaniowe buduje się więc byle dalej, chociażby na błotach, niemal na bagnisku. W centrum Tarnobrzega więcej stoi domów nowych niż starych. Co tu kryć: ani jedne, ani drugie nie za piękne, ale te drugie przynajmniej wygodne. Na mieszkania czeka się, a jakże, jak wszędzie, wprowadzają się do nich młodzi ludzie, bo tacy z reguły pracują w KiZPS „Siarkopol" i w samym Tarnobrzegu. Siarka to potężny przemysł, z którym Stalowa Wola, też w przemyśle nie ułomek, z trudem konkuruje.

To dzięki siarce wicedyrektora WDK Zagłębia Siarkowego, Jana Heczko, rozpierała pewność, że mówił prawdę, powtarzając co i rusz:

— Rzeczy niemożliwe załatwiamy tu od razu, na cuda trzeba trochę poczekać.

W myślach byłem z nim na ty, więc myślałem sobie: „Bajerujesz, bracie, takie młodzieżowe, doprzodowe hasełko możesz sprzedać telewizji najwyżej", ale zarazem podejrzewałem, że oni tu wszyscy chcą uwierzyć, że tak jest naprawdę. Chcą i czują, że mogą, bo pod ziemią leży jeszcze do pioruna tego żółtego bogactwa. I co z tego, że cuchnie w czwartek po południu i potem?

Jednego z wieczorów w tarnobrzeskiej restauracji poznałem młodego człowieka, który kiedyś był operatorem w kinie, ale rzucił ten marny interes i poszedł do „Siarkopolu". I to on stwierdził, że Tarnobrzeg jest dla ludzi odważnych, bo siarka szkodzi. Ten chłopak przyszedł do restauracji z dziewczyną widać, że nie wczoraj poznaną, więc zapytałem, czy się pobiorą i ona zaraz zajrzała mu w oczy głębiej, a on pokiwał głową. Chciał, żeby wyszło po męsku, ale to jej deklaracja wypadła poważniej.

— Będziemy mogli mieszkać u mnie. Przecież to prawie całe mieszkanie — powiedziała zachęcająco i wypili po łyku wina zamówionego do fasolki po bretońsku.

Ot, proszę, randkują, kochają się, pobiorą, będą mieć dzieci. Wcale się tej siarki nie boją.

Jeśli zaś idzie o pęd do kultury, to i tutaj od siarki niedaleko. Centralna placówka w tej dziedzinie nazywa się Wojewódzki Dom Kultury Zagłębia Siarkowego. Dziwna nazwa i konia z rzędem temu, kto znajdzie w kraju drugą taką. Wicedyrektor Heczko i jego szef, Marian Półtoranos, im dłużej mi wyjaśniali, w czym rzecz cała, tym mniej rozumiałem, prócz jednego, że to nazwa o charakterze dyplomatycznym. Musi być „wudek" i Zagłębie. Dyrektor Półtoranos jest na normalnym etacie, wojewódzkim, ale już jego zastępca bierze pensję z „Siarkopolu". Poza tym z „Siarkopolu" bierze się przeważnie fundusze na „pęd do kultury".

W kulturze wojewódzkiej trzy są przedsięwzięcia, których można pozazdrościć. Przede wszystkim festiwal pod hasłem „Młodzi muzycy młodemu miastu", organizowany w Stalowej Woli. Jest to pomysł dyrektorki Wydziału Kultury i Sztuki UW, Anny Kochan. Przewodniczącym jury owego konkursu kompozytorskiego jest Krzysztof Penderecki. Impreza rozrasta się zresztą i wzbogaca i można w czas jej trwania spotkać w Stalowej Woli i w Baranowie gwiazdy muzyki, literatury i krytyki z całego kraju.

Kolejna rzecz to Spotkania Muzyczne w Baranowie, czyli festiwal „Ars nova — ars antiqua", który odbywa się w przepięknym pałacu baranowieckim, (W „Kamenie" pisał o tym festiwalu S. Münch). Jest to wydarzenie równe rangą imprezie w Stalowej Woli.

I trzecia rewelacja: Barbórkowa Drama Teatralna, czyli prezentacja kilku najlepszych inscenizacji roku, przeniesionych do Tarnobrzega wprost ze scen warszawskich. To już impreza organizowana przez „Siarkopol". Trudno zresztą i poprzednim odmówić zagłębiowskiego udziału, skoro pałac w Baranowie jest własnością „Siarkopolu".

W tych przedsięwzięciach uderza, że choć są one pomyślane w zasadzie niezwykle ekskluzywnie (ich uczestnicy to przecież czołówka, najlepsze nazwiska muzyki i teatru), to jednocześnie są to imprezy niemal masowe dzięki udziałowi publiczności robotniczej. Zapewniano mnie w Tarnobrzegu, że karty wstępu otrzymuje nie elita snobów i prominentów, ale również robotnicy, i że chcą je brać, a tylko ograniczona ilość miejsc (w Tarnobrzeskiem dysponuje się salami ZDK w Stalowej Woli, w pałacu w Baranowie i salkami WDK — nie ma ani filharmonii, ani teatru) nie pozwala na udział wszystkich chętnych. W „Siarkopolu" po-

SYMBOL SZACUNKU I MIŁOŚCI DO OJCZYSTEGO SŁOWA

Rosną mury Biblioteki Narodowej

Od dwu lat społeczeństwo polskie śledzi z uwagą przebieg prac przy wznoszeniu na Polu Mokotowskim w Warszawie nowej siedziby Biblioteki Narodowej, książnicy gromadzącej skarby piśmiennictwa polskiego i najcenniejsze dzieła literatury światowej. Budowa tego gmachu stanowi ważną część realizacji polityki kulturalnej partii i państwa, jest świadectwem troski o rozwój kultury narodowej i opieki nad tworzonym przez kolejne pokolenia duchowym dorobkiem naszego narodu, symbolem szacunku i miłości do ojczystego słowa.

Obecnie zbiory Biblioteki Narodowej liczą ponad 3,5 mln jednostek bibliotecznych i co roku powiększają się o ok. 150 tys. woluminów. W jej murach znalazły schronienie szacowne pamiątki języka i piśmiennictwa polskiego: „Kazania Świętokrzyskie", „Psałterz Floriański", „Rozmyślania Przemyskie", „Objawienia św. Brygidy", zbiory kazań z XV w., „Historia Aleksandra Wielkiego" z początków XVI w. i inne. Biblioteka może poszczycić się też posiadaniem wielu wczesnych odpisów polskich kronik i roczników, jak „Rocznik Świętokrzyski dawny", kronika Galla (kodeks zamojski z XIV w.), Długosza (kodeks królewski) Wincentego Kadłubka, Janka z Czarnkowa (odpisy z XV w.), kodeks lubiński. Wyjątkowo dużą wartość posiadają też polskie i obce rękopisy iluminowane, takie jak „Antiquitates" Flawiusza z XV w., renesansowy „Katalog arcybiskupów gnieźnieńskich" Długosza z XVI w., „Sakramentarz Tyniecki" z XI w., „Złota Legenda" Jakuba de Voragine w XV-wiecznym odpisie, „Mszał Erazma Ciołka".

Spośród rękopisów literackich przykładowo można wymienić bardzo wczesny odpis „Pamiętników" Jana Chryzostoma Paska, autografy „Starej baśni" Kraszewskiego, „Krzyżaków" i „Quo vadis" Sienkiewicza, „Faraona" Prusa, „Dzienników" i „Urody życia" Żeromskiego. Są również rękopisy wielu innych pisarzy XIX i XX w. Nie brak też rękopisów historyków literatury i historyków. Wiele rękopisów BN stało się podstawą krytycznych bądź fascimilowych wydań tekstów literackich i historycznych.

Wśród liczących ok. 100 tys. tomów starodruków znajdują się takie unikaty, jak np. jedyny znany egzemplarz pierwszego wydania Rejowskiej „Krótkiej rozprawy między panem, wójtem, a plebanem", który stał się podstawą dla powojennej publikacji tego utworu. Podobnie unikalny charakter mają np. skonfiskowane przez cenzurę kościelną arkusze rozdziału „Do ecclesia" w „De republica emendanda" Modrzewskiego czy nieznany do niedawna rocznik „Monitora" z lat 1784—1785.

Zakład Starych Druków posiada niemało książek ze zbiorów Szymona Szymonowicza, z biblioteki hetmana Zamoyskiego a przede wszystkim dużą kolekcję — ponad 100 tomów — z biblioteki króla Zygmunta Augusta. Biblioteka dysponuje podstawowymi wydaniami klasyków piśmiennictwa polskiego od XVI do XVIII w. oraz wydaniami zagranicznymi pisarzy polskich (w Bazylei, Amsterdamie, w Niemczech). Zasoby te umożliwiają prowadzenie badań naukowych nad historią kultury i literatury, a także nad dziejami książki i drukarstwa polskiego.

Do najcenniejszych rękopisów muzycznych należą autografy i kopie autoryzowane utworów Chopina. Ponadto BN posiada autografy dzieł Józefa Elsnera, Karola Szymanowskiego, Ludomira Różyckiego, Grażyny Bacewiczówny. Muzykę średniowieczną reprezentują dwa graduały z XV i XVI w. oraz piętnastowieczny kodeks, zawierający m. in. utwory Mikołaja z Radomia.

Wszystkie te skarby naszej kultury już w niedługim czasie przeniesione zostaną do nowego gmachu: Realizacja budowy przebiega zgodnie z harmonogramami. Zakończono już montaż magazynu, który pomieści 5 mln woluminów, poważnie zaawansowane są roboty wykończeniowe, rozpoczęto elewacje, przystępuje się do zakładania urządzeń klimatyzacyjnych. W bież. roku gmach ten przekazany zostanie BN. Zbliża się więc moment przeprowadzki.

— Bliski termin zakończenia prac przy budynku magazynowym i przejęcia go przez nas, stawia przed Biblioteką Narodową poważne zadania — powiedział w rozmowie z dziennikarzem PAP dyrektor książnicy, Witold Stankiewicz. — Musimy prawidłowo zagospodarować go i zorganizować sprawną przeprowadzkę zbiorów, które tak szybko rosną, że wypełniają dużą część magazynu, zostawiając jednak pewną rezerwę na lata przyszłe. Oczywiście poprawi to trudną sytuację biblioteki, a konkretnie spowoduje rozluźnienie w obecnych magazynach i umożliwi przyjmowanie i normalne składanie na półkach nowych nabytków.

Wszystkie pozostałe agendy, a więc pracownie biblioteczne i czytelnia pozostaną w dotychczasowych pomieszczeniach do czasu zbudowania kolejnych obiektów BN.

Troska o powierzone naszej opiece bezcenne zbiory wymaga, abyśmy starannie przygotowali nowy magazyn do ich przyjęcia, wysuszyli go odpowiednio, zabezpieczyli bezawaryjne funkcjonowanie klimatyzacji itp.

Znaczną część książek, zwłaszcza starszych, będziemy musieli — przed złożeniem ich w nowym magazynie — ponownie dezynfekować, by maksymalnie wyeliminować niebezpieczeństwo pleśni i innych pasożytów. Tym czynnościom musi też zostać podporządkowane tempo i terminarz przeprowadzki do nowego gmachu.

Pragniemy również wykorzystać ów przełomowy moment do unowocześnienia naszej pracy, zmechanizowania wielu żmudnych, zrutynizowanych czynności, w zasadniczy sposób usprawnić informację o zbiorach własnych i obcych, dostosować zasady gromadzenia zbiorów do wielokrotnie większych potrzeb, które przyniesie uruchomienie dużych czytelni, mogących przyjmować dziennie ok. 3 tys. czytelników. Są to jednak kłopoty i plany, o których jeszcze za wcześnie mówić szczegółowo.

A. F.

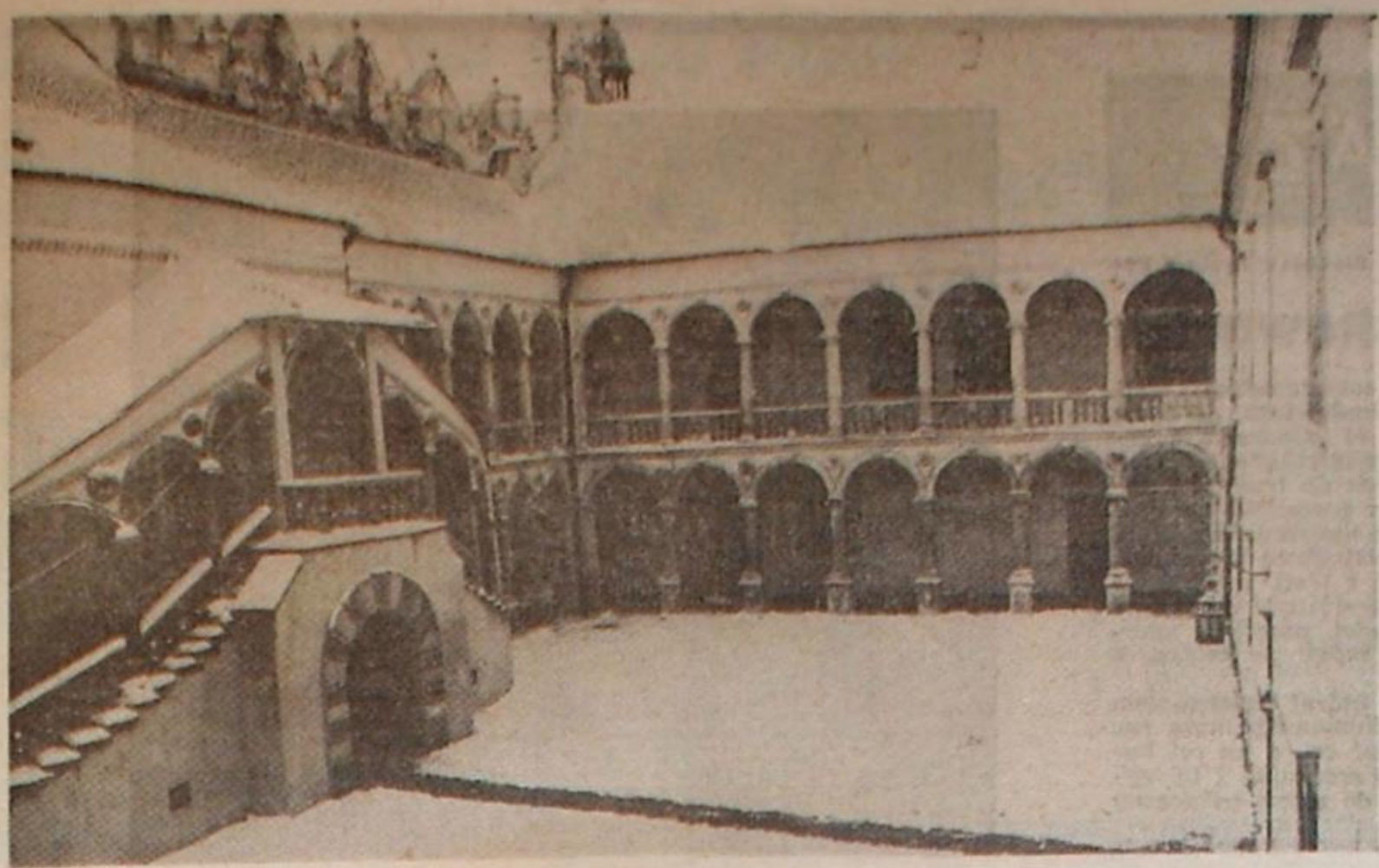

Dziedziniec pałacu w Baranowie Fot. W. Pintal

dobno nie zawsze załoga spokojnie przyjmuje tłumaczenia, że zabrakło kart na koncerty lub przedstawienia.

Tak, jak w przemyśle nie sposób pominąć Stalowej Woli, czy elektrowni Połaniec, tak nie można, mówiąc o kulturze, zapomnieć o twórczości ludowej, a w niej o Marii Kozłowej. Czegóż o tej kobiecie nie opowiadają! Że jest zbieraczką tworów kultury ludowej, że jest pieśniarką, choreografką, tkaczką i poetką, że stworzyła najwspanialszy w kraju zespół obrzędowy „Lasowiaczki". Gdziekolwiek zawędruje, wydobywa zapomniane, wczorajsze i przedwczorajsze artyzmy, tworzone przez lud i dołącza do nich nową twórczość, własną i zespołową. Siarka brutalnie wtargnęła do życia pani Kozłowej zmuszając ją do emigracji do Baranowa, gdyż jej wieś z korzeniami wykopano z ziemi, tworząc kopalnię, a że i pod Baranowem odkryto siarkę, więc pewnie przyjdzie szacownej wiekiem artystce zbierać dobytek na nową przeprowadzkę.

Opiewane przez tarnobrzeskich animatorów kultury ekskluzywne imprezy jakoś bledną przy tej ostatniej opowieści. Otóż oni importują sobie wspaniałości; fakt, że wybierają rodzynki, że pokazują u siebie to, co najlepsze w kraju, ale ów festiwalowy sposób przeżywania kultury ma swoje granice; za nim jest kraina autentyzmu pani Marii Kozłowej i jej podobnych; za nimi są źródła.

W Tarnobrzegu mają na dziś receptę:

— Po co mamy tworzyć kiepski własny teatr, skoro stać nas na sprowadzenie najlepszych zespołów z całego kraju. Po co robić przeciętną filharmonię, gdy możemy posłuchać najlepszych muzyków.

I racja. Byleby tylko nie zapominać, że kulturalnie tarnobrzeskie wcale nie jest na dorobku, mając takich ludzi, jak Maria Kozłowa.

Tarnobrzeska dyplomatyka polega na tym, by Sandomierz, tak bliski teraz stolicy województwa, która sama się doń przybliża, nie odrósł u jej boku, jak kapryśne dziecko. To w Sandomierzu poczułem powiew dostojności, tak inny od młodzieńczej otwartości w Tarnobrzegu. Jest w wiekowym grodzie, już po odnowieniu zabytków w centrum, arcywspaniały lokal klubu MPiK. Całą kamienicę na to przeznaczono. (Ależ jakie to kamienice sandomierskie!) Kiedy chciałem z panią dyrektor placówki porozmawiać o kulturze, odesłała mnie do Urzędu Miasta, bo nie godzi się mijać drogę do władzy. Ale ta pani, co miała dać zezwolenie, sama zachęciała, bym najpierw poprosił o zezwolenie na rozmowę z nią samego naczelnika miasta.

— A zresztą sam naczelnik dużo powie — dodała ni to kapryśnie, ni lękliwie. W tej sytuacji wybrałem rozmówców nie po linii urzędowej i jakoś poszło gładko.

Oto pewna piękna dama, którą mi polecono za przewodniczkę po sandomierskich nieoficjalnościach opowiedziała na początku, że w grodzie wiadomo, kto Tarnobrzegowi sandomierską siarkę sprzedał, kiedy i za ile. Zastanowiłem się, jak została sprzedana: czy wraz z podziemnym przeniesieniem na południe? Druga rewelacja dotyczyła niegdysiejszego przyznania praw miejskich Tarnobrzegowi. Uzyskał je więc nie za własne walory, lecz za potajemne przehandlowanie obrazu Rembrandta. Mocna rzecz. Z nowszych plotek krążyła pogłoska, że tutejsze szalety są to: Miejskie Szalety w Tarnobrzegu z tymczasową siedzibą w Sandomierzu.

Poważnie rzeczy biorąc, przypomnieć należy pewien fakt zasadniczy: w dawnym województwie kieleckim Sandomierz był zagubionym na peryferiach zabytkowym kłopotem. Wiadomo było, że ludzie tam chętni do włączenia się w bardziej aktywne życie niż powolne pleśnienie w starych murach, wiadomo było, że ukochał miasto Jarosław Iwaszkiewicz i wplótł je do literatury, że co krok to skarby, a ludzie nie tylko dumni, lecz i rozumni. Ale co robić z Sandomierzem, nie wiedziano.

Dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego, Józef Nowak, roztoczyć gotów niedowiarkowi wachlarz przykładów, że miasto ginęło nie z własnej woli. To, co obecnie tworzy kulturę miasta — muzeum, biblioteka, KMPiK, szkoły, środowisko, tradycje wreszcie itd. — wydobyło się na powierzchnię i zajaśniało po reformie administracyjnej. Nie mogą niektórzy przeboleć, że nie tu siedziba władz wojewódzkich, ale któż nie widzi, że miasto jest perłą w koronie? I wcale nie trzeba było wojewódzkich nowości, inwestycji, osiedli z wielkiej płyty. Prestiż miasta i ranga zachowa się, byleby ambicje skierować w stronę prawdziwej kultury, a nie ku rozdymanym pseudo-ambicjom. I taka jest prawda, że czego Tarnobrzeg dla sławy doczekać musi, Sandomierz już sobie zdobył.

Na koniec coś z sandomierskich specjałów: sekretariat w liceum sąsiaduje przez drzwi z klasą, w której rejwach bezustanny.

— Nie można tych drzwi zamurować? — pytam.

— Otóż to, nie można, cały budynek to wielki zabytek. Najmniejszej cegły tknąć nie wolno bez pozwolenia konserwatora wojewódzkiego.

Któż w Tarnobrzegu tak by się ceregielił z przeszkodą?

Stanisław Ryszard Dobrowolski

NOWE WIERSZE

PIEŚŃ HAFIZA

Skoroś zatęsknił do raju,
Zajdź ze mną za próg gospody —
Napełnim kielichy winem,
Zmieszawszy je z wodą różaną.

Róże każem rozrzucać
I w struny dźwięcznie uderzać.
Rozkojarzymy firmament
I nowe stawimy przyciesie.

Z tulipanowych pucharów
Wino pić będziem pąsowe.
Oto mądrość, mój druhu —
Wrota otwarte do nieba.

Rozkoszy doznasz wysokiej,
Serce oddawszy miłości,
Bo tylko wino i miłość,
I pieśń warte serca poety.

Nikt tu nie ceni pieśni,
Strof się nie kłania urodzie.
Chodź, pieśniarzu, pójdziemy
Gdzie indziej, do innych królestw.

MURY W AVILA

Te mury tu, co czas już osnuł był legendą,
jak pająk noc osnuwa nicią księżycową,
stoją tak siedem wieków i po nas trwać będą,
jeszcze długo sięgając chmur kamienną głową.
Czym przy nich życie ludzi jak przelot motyli?
I czym jest czas człowieka śpiewniejszy od chwili?

Salamanka, 22.X.79

ŚMIERĆ F. GARCII LORCI

Gdy stanął pod skalną ścianą
— Andaluzjo! Andaluzjo!
na wprost luf Guardia Civil,
gdy cień mu zasnuwał oczy
i leciał twarzą ku ziemi,
usłyszał ciepły szept rzeki
— Andaluzjo! Andaluzjo!
i dźwięk gitar pod balkonem,
i trzaskanie kastanietów,
śmiech w uliczce za katedrą,
śpiew Cyganów na taborach
— Andaluzjo! Andaluzjo!
ujrzał księżyc nad dachami
jak złocista pomarańcza,
wielki księżyc nad Granadą,
i wysoki grzebień w splotach
— Andaluzjo! Andaluzjo!
I oczy za czarnym szalem.

DROGOWSKAZY

W naszej ankiecie tym razem zabiera głos znany poeta Stanisław Ryszard Dobrowolski.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

SŁYSZAŁEM niegdyś, jak mawiano na warszawskiej Woli, gdziem się wychowywał w robociarskim środowisku, że życie nie jest romansem, a jeśli już romansem, to romansem z nędzą. Gdy to żartobliwie tam powtarzano, uśmiechano się przy tym wzgardliwie, manifestując lekceważący stosunek do trudności, jakich nie szczędzi nam życie. Tego to lekceważenia przeszkód na drogach życia uczono mnie na warszawskim Powiślu i warszawskiej Woli, kiedy były one jeszcze na wskroś robociarskimi dzielnicami Warszawy. Od tamtych czasów wiele się zmieniło na Powiślu i Woli, w Polsce i na całym świecie, ale lekcjom, jakie brałem w dzieciństwie od zahartowanych w borykaniu się z losem tamtejszych ludzi, pozostaję wierny. Uparcie biorę się za łeb, bo o tym tak się mówi po polsku, z przeciwnościami na drogach mojego życia.

Tamże, na Powiślu i na Woli, oraz w szkole, do której uczęszczałem przez dziewięć lat, w warszawskim Gimnazjum Humanistycznym im. Mikołaja Reja, uczono mnie, że w życiu trzeba mieć cel, a im cel bywa piękniejszy, tym godniejszym się jest ludzkiego szacunku. I tę lekcję wziąłem sobie głęboko do serca. Jestem za nią do zgonu wdzięczny moim nauczycielom.

Matka moja, która oddała swoje piękne życie w kaźni Ravensbrück, uczyła dzieci, że trzeba służyć ludziom. A że pamięć matki jest dla mnie święta, w pracy pisarskiej i w działalności społeczno-organizacyjnej staram się czynić zadość temu, czego wymagała od dzieci i przede wszystkim od siebie, będąc dla nas wspaniałym wzorem postępowania w życiu.

Innych zasad nie mam, ściślej zaś biorąc, wszystkie inne zasady, idee, myśli moje podporządkowane są najściślej tym trzem podstawowym przykazaniom, na których zbudowany jest cały mój system ideowy: społeczno-polityczny, moralny i estetyczny. Jest on najzupełniej spójny i gdyby choć jedną z wymienionych na początku zasad podważyć, diabli by go wzięli.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Nadęty balon pokolenia

Henryk Makarski

JÓZEF Baran („Kultura" nr 3/80) — nawiązując do dyskusji na temat najmłodszej poezji (a czy jest „stara" poezja?) jaką na łamach „Tygodnika Kulturalnego" (nr 47/79) i „Kultury" (nr 49/79) „odbyli" młodzi, i nie tylko, krytycy, po raz n-ty przelewając z pustego w próżne — ogłosił alarm dla młodej krytyki. I słusznie, chociaż mam wątpliwości, czy adresaci właściwie zrozumią intencje nadawcy. Prawdopodobnie — jako biegli w przepisach urzędnicy naszej literatury — zgodnie z instrukcją alarmową zejdą do podziemnych schronów, bądź pochowają głowy w piasek, aby przeczekać alarm.

Dyskusji na temat współczesnej poezji tyle teraz, że mniej odporny psychicznie poeta pewnikiem pisanie wierszy porzuci i pokornie wyczekiwać będzie, do jakiejż to grupy, klasy, pokolenia i orientacji znakomity krytyk w rodzaju Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza zaliczy go, usystematyzuje, zaszufladkuje. Bo — zdaniem naszych genialnych „krytyków" — mało ważny jest talent (w ogóle o nim się nie mówi), wyobraźnia i indywidualna świeżość metafory akcentującej rzeczy zasadnicze. Najważniejsza jest deklaracja, systematyzacja i formuła. Słowem — przynależność. Dyskusje owe bowiem — jako się rzekło — nie dotyczą istoty poetyckiego słowa, a raczej narzucają numerację stajni, w których niesforni poeci winni przechowywać swoje pegazy.

Aczkolwiek hasło „kupą mości panawie, kupą" popularne było już w okresie zapitej szlachetczyzny — śmiem zauważyć, że akt twórczy jest procesem ze wszech miar indywidualnym, intymnym, a jeśli już dyskursem ma być generalnym, to co najwyżej dyskusją poety z własnym sumieniem; sumieniem obywatela i patrioty, ma się rozumieć. I najważniejsze przecie jest to pisanie, świadome zmaganie się poety ze słowem, z materią wiersza. A tymczasem nasi genialni „krytycy" uważają, że najważniejszy jest nie proces twórczy, jego jakość, a — obwieszczana z godnym lepszej sprawy nabożeństwem — biurokratyczna otoczka, nadęte balony zaporowe, które wystarczy przekłuć okrzykiem „król jest nagi!" a pozostaną z nich żałosne strzępy sloganów. Że ważne jest nie to, jak i co piszę, ale — do kogo należę jakiej modzie hołduję. Słowem — tłamszenie talentu, wyobraźni i samodzielności poetyckiego wyrazu, dyskryminacja liryzmu — odwiecznego jądra poezji. Jeśli wykastrujemy pegaza, pozbawiając go owego lirycznego jądra, to co pozostanie z poezji? Dychawiczna szkapa, kierowana dziarsko przez przemądrzałego „krytyka", oblewana — dla ochłody — teoretycznymi pomyjami.

Czy „krytycy" muszą na siłę systematyzować poetów, dzielić ich na pokolenia, tworzyć zatruwające poetycką wyobraźnię mity i zacierając rączki z radości obserwować, jak grupka nieco młodszych atakuje grupkę nieco starszych? Na ogół nie mają żadnych wątpliwości, że — muszą. Ciekawe, że zbawcze w tym przypadku wątpliwości są zaletą tych najstarszych, najbardziej doświadczonych literacko, takich jak Ryszard Matuszewski, który — jako jeden z nielicznych — próbował uczciwie, po ludzku podejść do sprawy.

Łączenie w grupy, wbrew nazwie sugerującej syntezę, nie jest procesem integracji, a wręcz przeciwnie, podziałem, prowokacją do pustych, teoretycznych kłótni.

Czy „krytycy" muszą wmawiać młodym poetom, że najprostszą drogą do sławy jest przepisywanie Eliota i anglosaskich poetów metafizycznych, słowem: uniwersalizacja i europeizacja poezji? Dla mnie takie gadanie to próba rozmiękczenia polskości naszej poezji, uczynienia jej nijaką, bo przecież uniwersalna to często kosmopolityczna! Młodzi poeci polscy powinni pisać polskie wiersze i — zanim sięgną po wzorce światowe — przypatrzeć się z szacunkiem naszej, polskiej tradycji. I to nie tradycji tzw. „nowej fali", bo cóż to za tradycja, choć szumu i wszelakiej wrzawy koło niej co niemiara, mitologii pełnej sloganów odgrzewanych po wielekroć...

Chodzi o tę prawdziwą, humanistyczną i bardzo polską tradycję minionych stuleci, a nie o zabiegi mitotwórcze wokół Orientacji, Nowej Fali, itp. Nawet znany krytyk musi umieć przegrywać z godnością, zwłaszcza, jeśli jest przy tym mniej znanym poetą.

Twierdzą panowie „krytycy", że Nowa Fala pozostawiła po sobie puste miejsce, które nie wiadomo, czym zapełnić, bo najmłodsi poeci — debiutujący po roku 1975 — są zakompleksieni i niezbyt entuzjastycznie dają się wiązać w pęczki. I to jest największe panów „krytyków" zmartwienie.

A może to panowie młodzi „krytycy" są zakompleksieni i dlatego robią tak wiele hałasu, żeby zaświadczyć, że jednak istnieją? Nawet przeciętny uczeń wie, że w tym całym procesie najważniejszy jest tekst. Tymczasem — zamiast pokazywać tekst, panowie pokazują siebie, na drugim miejscu autora (tu często niezbyt wybredne aluzje do miejsca pracy, urodzenia, itp.), a dopiero na szarym końcu kilka łaskawych zdań o dziele. Albo laurka, albo pamflet. Moja babcia mawiała, że dzwon dlatego głośno dzwoni, bo w środku pusty i ja jej wierzę, bo mam szacunek dla tradycji rodzinnej.

A propos tradycji rodzinnej: byłem ostatnio na uroczystym jubileuszu Klubu Młodych Pisarzy, czyli takiej raczej rodzinnej uroczystości, podobno XV-leciu. Piszę: podobno, bo ze statystyki przyznanych tam nagród i odznaczeń wynikało, że raczej 2—3-lecie, no — zaokrąglając — 5-lecie to było. Jest taka ballada Bułata Okudżawy: „a jednak mi żal, że po naszym zwycięstwie niejednym górują cokoły, na których nie stoi już nikt..." I to cały komentarz tej imprezy. Z pewną wszakże poprawką: na te cokoły wdrapują się synalkowie elokwentni, którzy — w latach tamtych zwycięstw odnosili sukcesy głównie w zmaganiach z elementarzem. Smutne, ale prawdziwe.

Oto do czego prowadzi stereotyp „zmiany warty" i „terroru debiutów", kreowanie sztucznych podziałów pokoleniowych, bo przecież podziały te są jedynie wymysłem niewydarzonych „krytyków", którzy się nie sprawdzili jako poeci... O czym świadczy fakt, że jedne i te same tytuły książek, albo — jak kto woli — jedni i ci sami autorzy (czytaj: działacze) zdobywają wszelkie możliwe do zdobycia w środowisku nagrody? Gdybyż jeszcze ogólnopolskie, chylimy czoła i mówimy: geniusz, ale to nie to. Należy oczekiwać, że zdobędą jeszcze nagrody PCK, TPD i Dyrekcji PKP, bo w tytule jednej z książek jest słowo „pociągi". Może nawet nagrodę prezesa Towarzystwa Trzeźwości Transportowców, choć to nic pewnego, bo mogą być opory natury merytorycznej... A babcia mawiała: jeśli rodzina chce, by ją szanowano, rodzice, bracia i siostry muszą się wzajemnie szanować...

Broniący tak Orientacji (która działała przecież w próżni społecznej) Andrzej Krzysztof Waśkiewicz — czołowy kronikarz ruchu młodoliterackiego w kraju — boleje nad tym, że wszyscy w Polsce wydają poezję („Życie Literackie", nr 11/78), podając — na zasadzie curiosum — że „są zeszyty wydawane nakładem MO, ale i tomiki, których wydawcą są PZGS-y, związki zawodowe".

Sprawdziłem i oświadczam, że — jak dotąd — żadna jednostka MO w Polsce nie zajmowała się wydawaniem tomików poetyckich. A gdyby nawet, to cóż w tym byłoby dziwnego, cóż upoważniającego do drobnych złośliwości zaserwowanych niby mimochodem? Czy ktokolwiek dziwi się temu że MON wydaje tomiki poezji?

Skoro o sumienności pana AKW mowa, następny kwiatek: w szkicu „Wchodząc w wiek średni" („Życie Literackie" nr 38/78) trzeci tom W. Kazaneckiego nazwał „Pejzaże rdzawe", myląc zapewne z tytułem książki poetyckiej Waldemara Michalskiego „Pejzaż rdzawy", bowiem w rzeczywistości tytuł tomiku Kazaneckiego brzmi „Pejzaże sumienne". Oj, niezbyt to chyba dobrze świadczy o sumienności krytyka AKW. I my wymagamy od panów „krytyków" rzeczy wielkich...

Panowie „krytycy"! Nie męczcie młodych poetów, nie przeszkadzajcie w sumiennym pisaniu. Analizujcie rzeczowo ich teksty, uczciwie i bez podtekstów, ale nie róbcie im bełkotliwej wody z mózgu, nie zalewajcie popłuczynami Nowej Fali, która już dawno wyschła! Nie zniechęcajcie lirycznych pegazów, niech hasają po barwnych łąkach wyobraźni (polskich łąkach). Z wyobraźni i sumienia rodzi się akt twórczy, nowa jakość. A o to przecież chodzi. Jeżeli nawet młodzi poeci nie wezmą do serca waszych znakomicie uczonych rad i nadal pisać będą, pisać sami, tylko to, co jest z ich serca prywatną muzyką — nie przejmujcie się. Oni się nie przejmują wami, wy nimi jeszcze mniej się przejmujecie i tak jakoś leci. Psy szczekają, karawana jedzie dalej. Karawana lirycznej poezji...

PS. Panu AKW, który się zajmuje statystyką młodej literatury, a sądząc z wypowiedzi (ileż tych podziemnych tomików, wszyscy je wydają!) wszystkie swoje książki wydał co najmniej w PIW-ie, proponuję policzyć, ile książek opublikował nakładem Lubuskiego Towarzystwa Kultury i jaki to procent całości jego twórczych dokonań...

Kamena str. 6

DELEGAT NA VIII ZJAZD PZPR

My to żywność

Henryk Pająk

DZIEŃ w gospodarstwie Kawęckich zaczyna się o piątej, bez względu na porę roku. Do udoju idzie on sam. Syn Jurek usuwa obornik, szykuje karmę dla świń i bydła. Zadają razem. Robi się południe. Obiad. O trzynastej znów do obrządku: przygotowanie karmy, zadawanie, udój. Posiłki przygotowuje Kawęcka z synową. I już wieczór, gdy zimą. Latem ten dzień jest podobny, tylko rozwleczony o kilka godzin dłużej i szybszy, bo oprócz obrządku czeka jeszcze robota na 12 hektarach upraw.

Tu, w Berezie, dom Kawęckich był pierwszym mieszkaniem zbudowanym po wojnie, a później najpiękniejszy kawał życia upłynął im na dalszym budowaniu: obory, chlewni, stodoły. I zaraz potem zaczęła się modernizacja: obory na płytszą, z poidłami, stanowiskami; chlewni na wygodniejszą dla trzody i... ludzi, wreszcie domu z centralnym, wodą. I tak zbliżyła się sześćdziesiątka; choć dwie córki po studiach wyfrunęły w świat, to jednak liczba talerzy przy posiłkach nie zmalała, bo zasiadło przy nich dwóch wnuków.

Mógł inaczej. Przed wojną ukończył Gimnazjum Kupieckie w Międzyrzeczu Podlaskim. To było coś. Wybrał rolę. Po wojnie, przez kilkanaście lat trochę nawet tego żałował, ale to stare dzieje...

W 1963 r. był już w partii. Po ośmiu latach został delegatem na VI Zjazd PZPR. Otrzymał Krzyż Kawalerski. Obecnie jedzie na VIII Zjazd. Ma niecałe 12 hektarów ziemi. Miał więcej, ale pod kopalnię żwiru, wielką nadzieję budownictwa, zabrano mu 3,40. Owszem, siła wyższa, racja ekonomiczna. Ale smutno mu, że gdy on chciałby powiększyć gospodarstwo, musi je właśnie okroić. Chętnie by dokupił, ale w Berezie nie ma roli na sprzedaż. Tu każdy twardo trzyma swoje, a gdy oddaje, to następcom. Wszystko zostaje w rodzinach.

Siedzę z Kawęckim przy stole w gościnnym i rozmawiam o dziwnych kolejach losu rolnika:

— Jak to jest, że bywa tak różnie w różnym czasie.

— Konkretnie idzie mi o stabilizację zawodu rolnika, o pewność swojego wyboru. Mój syn musi wiedzieć...

Myśli wyraża z przekonaniem, gestykulując, swojej racji pewny do końca, bo sam jej doświadczył:

— ... musi wiedzieć, że jeżeli zbuduje oborę, zmechanizuje ją, nastawi się na bydło mleczne, to nie może po paru latach okazać się, że bydło zaczyna się nie opłacać na tle trzody, jak nie może się również przestać opłacać hodowla bydła mlecznego w porównaniu z mięsnym.

— To sprawa cen?

— Cen, ale nie tylko. I o tym chciałbym usłyszeć na Zjeździe albo sam powiem. O tym, że cały przemysł pracujący na rzecz rolnictwa, a z nim różne resorty, muszą w odpowiednim czasie reagować na aktualne potrzeby. Co to znaczy? Jeżeli dziś zaczyna brakować jakiejś maszyny rolniczej czy zwykłego narzędzia, to już dziś, natychmiast powinny zostać podjęte decyzje. Ja już nie mówię o sytuacji idealnej, że dziś powinniśmy podejmować kroki w sprawie potrzeb, które ujawnią się za rok. To samo z cenami moich produktów. Jeżeli dziś ceny skupu któregoś produktu nakazują mi zastanawiać się, czy by nie przerzucić się np. z hodowli owiec na trzodę lub odwrotnie, i jeżeli do tego samego wniosku dochodzą jednocześnie tysiące rolników, to za rok z całą pewnością załamie się albo hodowla owiec albo trzody. Z ceną, jako jednym z głównych bodźców, trzeba wychodzić natychmiast, a nie po roku, gdy spis zwierząt wykaże gwałtowny regres.

— Słucham tego jak wykładu z ekonomii rolnictwa.

— Jedno jest pewne, że ja tego nie wyczytałem z podręcznika szkolenia rolniczego, a szkoda.

— Mimo wszystko pana wywody są dla mnie ilustracją opinii, że dzisiejszy rolnik liczy z szybkością komputera.

— To źle?

— Nie w tym rzecz, a w tym że niektórzy mieszkańcy miasta uważają, iż rolnik liczy tylko swoje, na swoją korzyść, że w ogóle życie na wsi jest lepsze, łatwiej się dorobić.

— Tak? To dlaczego wieś się wyludnia? Zapraszamy do Berezy.

— Nie ma ziemi...

— To dobrze. Mają ją ci, którzy z niej nie odeszli. I tak powinno być wszędzie, w całym kraju. I to jest, moim zdaniem, wynik stałej poprawy warunków gospodarowania indywidualnego w ostatnich pięciu, dziesięciu latach.

Stanisław Kawęcki

Fot. W. Stępień

— Co poza dalszą stabilizacją zawodu powinien przynieść plon VIII Zjazdu?

— Oczekuję całego programu stopniowej poprawy obsługi rolnictwa i rolnika. Ostatnie dziesięciolecie przyniosło wiele dobrego w zakresie obsługi rolnictwa, zwłaszcza w mechanizacji prac. Ja sam jestem od roku właścicielem kombajnu do zbioru ziemniaków, o czym dziesięć lat temu nie mogłem nawet marzyć. Ale niewiele zmieniło się w obsłudze rolnika, w zaopatrzeniu go w środki do produkcji rolnej, materiały budowlane, węgiel, pasze. Dużo tu można wymieniać, ale chyba najlepiej powie o obecnej sytuacji w tej dziedzinie fakt, że np. z naszego gospodarstwa — bo przecież gospodarujemy razem z synem — z czterech dorosłych osób jedna prawie codziennie musi być poza domem, załatwiać setki spraw, dopytywać się dziesiątki razy, kiedy do geesu przywiozą węgiel, pasze itp. To cały etat. A więc olbrzymia strata w skali całego rolnictwa, w którym brak rąk do pracy.

— A przecież jest jeszcze praca społeczna. Trzeba się udzielać na rzecz wsi, gminy.

— Dobrze policzmy. Od wielu lat jestem prezesem Wojewódzkiego Związku Plantatorów Roślin Okopowych. Właśnie odbywa się w naszej wsi zebranie sekcji plantatorów ziemniaka. Byłem przewodniczącym komitetu elektryfikacji wsi, bo trzeba pamiętać, że Bereza otrzymała elektryczność w 1968 roku. Byłem przewodniczącym komitetu budowy szkoły, drogi na odcinku Szóstka — Międzyrzec, zlewni mleka i remizy. Za to wszystko otrzymałem odznakę Zasłużony dla Lubelszczyzny. Wspominam o tym nie dlatego, żeby się pochwalić, lecz po to, aby wykazać, że przed laty ruch społecznikowski na wsi był potężną siłą i jemu zawdzięczamy remizy, światło elektryczne. Teraz ruch społecznikowski wyraźnie osłabł. Dlaczego? Nie tylko dlatego, że nie ma już tak silnego zapotrzebowania na tamte, tak dziś elementarne sprawy. Ale właśnie dlatego, że tamci społecznicy, chłopi-działacze już się wykruszyli, a ci, w sile wieku, muszą pilnować roboty, albo jechać zabyle czym do geesu, do sklepu. Kto ma teraz czas na zespół artystyczny, na chór wiejski, na odczyt w klubie?

DOM GAŁCZYŃSKIEGO

JEDNE z najpiękniejszych kart twórczości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego — wiersze liryczne, poematy „Niobe" i „Wit Stwosz" powstały w leśniczówce Pranie nad Jeziorem Nidzkim. W tym „domu na wzgórzu, z oknami dziesięcioma", jak pisał w jednym z wierszy, urządzone zostanie muzeum poety. O przygotowaniach do utworzenia tej placówki dziennikarz PAP rozmawia z córką autora „Zaczarowanej dorożki" — Kirą Gałczyńską.

— Wszystkie rękopisy i wszystkie pamiątki związane z ojcem — powiedziała Kira Gałczyńska — zostały po śmierci mojej matki, i zlikwidowaniu ostatniego warszawskiego mieszkania rodziców, przekazane Muzeum Literatury. Jeśli chodzi o rękopisy, to zdecydowałam, że pozostaną one w Muzeum Literatury. Po prostu są tam najlepsze warunki do ich przechowywania. Okazało się bowiem, że papier jest nie najlepszej jakości, a zielony atrament, którym ojciec lubił pisać, blaknie. Rękopisy muszą więc być odpowiednio przechowywane i konserwowane. Pozostałe przedmioty, biblioteka i ogromna ilość wycinków prasowych, dotyczących K. I. Gałczyńskiego, gromadzonych najpierw przez matkę, potem przeze mnie — przeznaczone są dla Prania.

Wielokrotnie zadawano mi pytanie, dlaczego zdecydowałam się na Pranie. Warszawa ma dużo placówek tego typu. Ale Pranie było dla ojca czymś bardzo ważnym. Po raz pierwszy pojechali tam rodzice latem 1950 r. i zatrzymali się aż do późnej jesieni, potem byli tam zimą z 1950 na 1951 r., a później co roku. Ostatni pobyt skończył się mniej więcej w połowie listopada 1953 r. Właściwie wszystkie najbardziej ważkie i znaczące dla jego twórczości utwory napisał ojciec w Praniu. Wiązał z tym miejscem duże nadzieje.

Dzięki życzliwości władz suwalskich udało się przeprowadzić remont budynku, który właśnie dobiega końca, i wszystko wskazuje na to, że zgodnie z planowanymi przez nas terminami otwarcie Muzeum Gałczyńskiego w Praniu nastąpi 1 czerwca.

Ekspozycję zaprojektowali pracownicy Muzeum Literatury — Witold Błażejewski i Tadeusz Januszewski. Pokażemy wszystkie rzeczy, które zbierał ojciec, przedmioty które lubił. Pamiętam — na jego biurku stał piękny gliniany gołąb, którego dostał od Kenara, zdjęcie radzieckiej tancerki Tamary Chanum, której poświęcił jeden ze swych wierszy, cynowy kubeczek z płaskorzeźbami (przedstawiającymi ostatnie dni Puszkina), w którym ojciec trzymał ołówki. Pamiętam — stał też kałamarz z zielonym atramentem. W gabinecie ojca było też wiele różnego rodzaju lamp, świec i lichtarzy. Oczywiście, była i lampa z „Zaczarowanej dorożki". Wszystkie te przedmioty tworzyły niezwykły nastrój tego pokoju. Cieszę się, że w Praniu można będzie go odtworzyć. Wyobrażam sobie też, że dom w Praniu będzie tym domem Gałczyńskiego, o który on myślał i do którego chciał wrócić, domem, w którym będzie żyła poezja.

A. F.

Kamena str. 7

Marynarz John

Jerzy Chłodnicki

NIE lubię typów, którzy przy pierwszym spotkaniu nie raczą mnie nawet zauważyć w towarzystwie. Takim był John. Nie Dżon, ale zwykle John. Tak wszyscy wymawiali. Pojawiłem się wśród nich na prawach egzotycznego gościa i przez pierwszy tydzień mogłem oczekiwać zainteresowania, do jakiego przyzwyczaili mnie gospodarze.

Jeden John nie poddał się ciekawości. Nie podszedł, nie zagadał. Byłem dla niego powietrzem. Nigdy bym chyba go nie poznał, gdyby nie morze. Konkretnie; słowo „bosman". Chciałem przetłumaczyć na szwedzki swój wiersz, gdyż słownik mój był jeszcze bardzo ubogi i wymagał ciągłych konsultacji. Pytam jednego, pytam drugiego Szweda, ale nikt nie wie, o jakie słowo mi chodzi. Wreszcie odesłali mnie do Johna:

— John na pewno wie. John to stary marynarz. John opłynął wiele mórz. Ooo, John to jest gość!

Ale Johna nie było w pokoju żadnego wieczora i przez dłuższy czas czekałem na jego powrót. Nikt nie wiedział, gdzie jest, co robi, kiedy wróci. Nawet jeśli ktoś wiedział, to milczał, bo nie wypada „wiedzieć", nie wypada interesować się bliźnim. Taka to już szwedzka dyskrecja.

Czekałem na Johna niecierpliwie i nawet zacząłem zaglądać do sal wykładowych, czy przypadkiem nie przyszedł na zajęcia. Niestety. Opuszczał ostatnio wszystkie ważne wykłady, a w kancelarii powiedziano mi, że nie wiadomo, czy John w ogóle wróci. Miał zwyczaj znikać znienacka, po kilku miesiącach znowu wracał, i tak już od trzech lat. Znali go wszyscy w uniwersytecie ludowym, począwszy od rektora, a skończywszy na pannach podkuchennnych.

Kogokolwiek by o Johna zapytać, wzdychał: Ooo, John. To jest ciekawy gość.

Pytałem rudej Walborg:

— Powiedz, kim jest ten John?

— John? On był chyba marynarzem. Całe ciało ma w tatuażach. Podobno bywał w wielu portach, w Ameryce, Oceanii, a Europę zna jak swoją Norwegię.

— Jest Norwegiem?

— Norwegiem, ale nie lubi o tym wspominać. Bieda z nędzą były w jego domu, więc opuścił go i te dwie kochanki.

— Taki kochliwy?

Pięćdziesięciokilkuletnie rude słońce rozpromieniło się w życzliwym potakującym uśmiechu.

— A powiedz mi, Walborg, czy on teraz ma jakąś rodzinę, dom? Na biednego nie wygląda.

— Nie wiem. Zapytaj go wprost, to ci może sam powie.

Innym razem zagadałem do Ulli:

— Powiedz mi Ulla, jaki jest John? Znasz go?

— Kto go nie zna. To bardzo dobry człowiek. Piękny człowiek. Nie uwierzysz jak on kocha poezję. Kiedyś czytaliśmy Bellmana do późna. To naprawdę fajny chłopak.

— Podkochujesz się w nim, co?

— Co, ja? Przecież mam męża, dom, swoje czterdzieści osiem lat. John jest młody. Może mieć każdą dziewczynę, jaka go zaciekawi. Na niego nie można nie zwrócić uwagi. Gdy byliśmy razem na dyskotece w Kramfors, było mi aż głupio, bo co chwila zaczepiały go podlotki, gwizdały na niego, zapraszały do auta. To jest fajny chłopak.

— Nie wierzę. Wydaje mi się taki nonszalancki.

— Wydaje ci się, bo go nie znasz. To bardzo wartościowy człowiek.

Raz w tygodniu odbywa się „sammanträde", czyli powszechne zebranie wszystkich elewów. Nie byłem zainteresowany obradami, mimo to poszedłem. Przypuszczałem, że na tym zebraniu będzie John. Mój „bosman" nie dawał mi spokoju, tym bardziej, że słowo brzmiące po polsku przypominało szwedzkie „botsman", czyli marynarz, człowiek statków. Gdziekolwiek próbowałem uściślić je, odwoływano się do autorytetu Johna.

Dziś Johna nie było. Nie wypadało wyjść, zostałem. Dyskutowano już teraz, w marcu, wakacyjną wycieczkę całej uczelni. Planowano Norwegię, Laponię, może Kopenhagę, a skończyło się na pobliskim Höga Kusten. Dyskutowano o kosztach tej wycieczki i tu przywołano imię Johna. Był więc obecny, mimo nieobecności. Powoływano się na niego.

W kąciku, między studentami, całkowicie podporządkowani samorządowemu tokowi obrad siedzieli też wszyscy pedagodzy. Ich prawo głosu było takie samo, jak każdego z obecnych, a może mniejsze, gdyż głos ich mógł być tylko głosem doradczym.

Obradom przewodniczył ryży Jörgen, który miał zwyczaj zwracać na siebie uwagę ostentacyjnym pozdrawianiem wszystkich obecnych — bo zawsze się spóźniał, nawet do stołówki — ręką wysoko wymachującą nad głową, zwracając się coraz ku innym osobom. Przypominał wkraczającego zwycięzcę, rzymskiego wodza, a nie bezrobotnego, studiującego szkołę średnią w uniwersytecie ludowym.

Jörgen miał przed sobą drewniany, ozdobny młotek, którym zaklepywano podjęte decyzje. Gdy młotkiem tym zaklepano jakiś temat, nikt nie miał prawa doń wracać w dyskusji i tracić czas na załatwioną już sprawę. Dziś przewodniczył Jörgen, ale wynikało to nie z jego funkcji czy autorytetu, tylko po prostu ze zwykłej kolejności. Kolejno każdy elew prowadził zebranie, tak, by nikt z funkcyjnych szefów samorządu nie nadużywał swojej władzy, lecz uczył się słuchać na równi z innymi.

Jörgen sprawiał wrażenie wesołka, któremu zawsze się gdzieś spieszy. Tak wyglądało i to zebranie. Co chwila podnosił młotek w górę, chcąc przyspieszyć podjęcie decyzji i cel swój osiągał. Gdy dyskutujący widział gotowość Jörgena do „zaklepania" sprawy, kończył prędzej, speszony, a następnych jakby ubywało. Nikt nie marudził i co chwilę, po każdym punkcie powielonego i rozdanego wszystkim porządku obrad, na pytanie: „Czy zgadzacie się z tak sformułowaną decyzją?" słyszało się: — Taaak — Chórem i tupaniem reagowała sala. Jörgen wtedy z namaszczeniem stukał młotkiem trzy razy i wszyscy odfajkowywali punkt na swoich egzemplarzach programu.

Po zebraniu podszedłem do Kalle i zapytałem, czy wie, kiedy zjawi się John. Kalle poskrobał

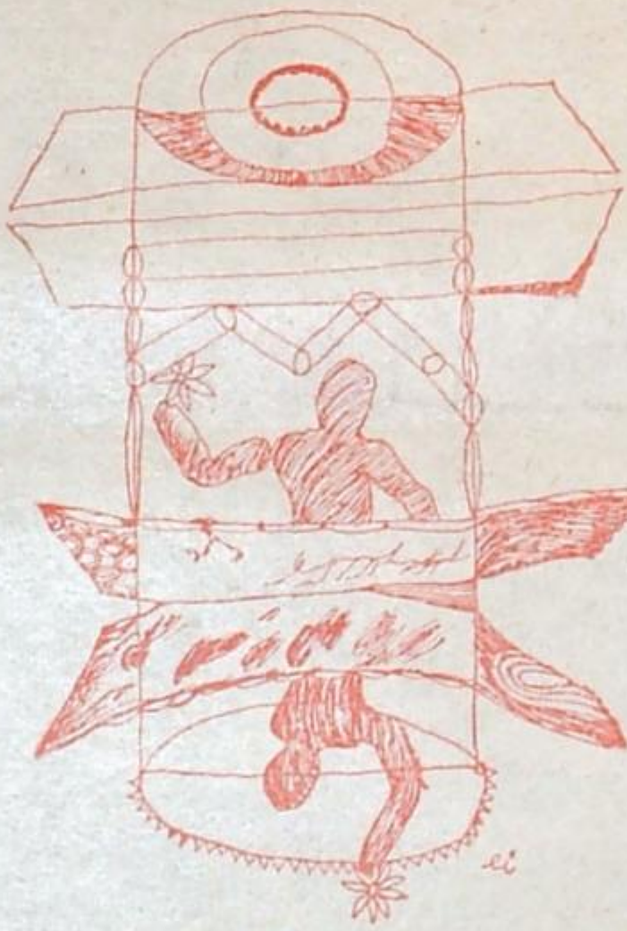

Rys. E. Inglot

się po blond grzywce nad czołem, wydął wargi i zastanawiając się, wycedził:

— Nie wiem.

Zawsze wydawał mi się małym blond narkomankiem, cherubinkiem. Nie wiem czemu, ale nie lubiłem go. Nawet, gdy był uprzejmy i częstował drażetkami odświeżającymi.

Po chwili dodał:

— John mówił, że musi wpaść, bo się będzie wyprowadzał i musi spakować rzeczy.

Zmartwiłem się taką perspektywą. Jeszcze nie poznałem Johna, który podobno mógłby pomóc w moich dociekaniach, a tu się okazuje, że mogę go wcale nie poznać. Kalle musiał coś w mojej minie wyczytać, bo za chwilę, jakby z łaski, dodał:

— Powiem Johnowi, że masz do niego sprawę, to zajrzy do ciebie, gdy się tu pokaże.

Mieszkaliśmy w tym samym korytarzu na pierwszym piętrze Skrzydła Kawalerskiego. Taką nazwę nosił nasz akademik, w odróżnieniu od budynku dziewcząt zwanego Różaną Twierdzą. W Skrzydle mieszkała też Wenezuela (Birgit z Fernando) łysoruda Walborg, Wariat — Runni, Uśmiechnięty Kjell, Ulla Olson i... Marynarz John.

Nigdy go jeszcze tu nie widziałem. O tym, że mieszka, wspominano, gdy nas przedstawiano w stołówce. Nigdy nie kręcił się po korytarzu, nie zaglądał do pokoju wypoczynkowego, nie korzystał z łazienki, ani pryszniców. Nie było człowieka. Podobno bywał nocami w pokoju, ale kiedy przychodził, kiedy wychodził, nigdy nie mogłem zauważyć. Stałem nieraz chwilę obok jego drzwi, przechadzając się wzdłuż korytarza ku łazience i z powrotem, ale nigdy najmniejszy szmer nie doleciał z jego pokoju.

Przesiadywałem w swoim pokoju całymi dniami, opuszczając go tylko w porze posiłków, więc zdarzało się, że w pokoju wypoczynkowym, gdy parzyłem sobie kawę, zjawiła się *husmor*, by posprzątać nasze pomieszczenia. Karin była bardzo rozmowna, próbowałem od niej dowiedzieć się czegoś o Johnie.

Częstowałem ją papierosem, a gdy rozejrzawszy się, czy nikt nie obserwuje, decydowała się posiedzieć, co chwila spoglądając na zegarek i swoje ścierki, zaczynałem naprowadzać ją na temat Johnego.

Wiem, że znała jego pokój, sprzątała tam przecież, ale tylko uśmiechała się, mówiła, że John pewnie znowu wnet wypłynie, opowiadała o jakimś dancingu w Kramfors, o wycieczce z Johnem do Soleftea na narty, ale nic ponadto nie wiedziała, czy też nie chciała powiedzieć.

Im więcej słuchałem i myślałem o tym Norwegu, tym bardziej miałem ochotę wejść do jego pokoju, pogadać, rozszyfrować jego towarzyskie sukcesy. Wydawał mi się tak ciekawym człowiekiem, że jeśli bym go nie poznał, czułbym się uboższy.

Karin nie była jedyną *husmor* w szkole. Było ich kilka. Wszystkie jednakowo dbające o Johna i jego sprawy. Nieraz w stołówce słyszałem: „Zostawcie dla Johna, to sobie weźmie z lodówki". Panie *husmor* miały więcej do powiedzenia w sprawach bytowych niż sam rektor. *Husmor*, czyli — dosłownie tłumacząc — „matka domu" jest osobą najważniejszą.

Ona decyduje, kto i gdzie będzie spał, z jakiego sprzętu korzystał, ile za to zapłaci, jaki kurs można przyjąć i w jakim terminie, jakie będzie wyżywienie i porządki. Rektor się nie wtrąca. Rektor ma swoje budżety i dydaktykę. Od rządzenia jest *husmor*.

Myliłby się ten, kto, widząc *husmor* sprzątającą pomieszczenia, potraktowałby ją obojętnie, tak jak u nas traktuje się zwykłą sprzątaczkę. Wyjaśnił mi to John, potem, gdy już dogadaliśmy się i przepytywałem go o różne osobliwości tutejszego życia.

Husmor jest postacią ważną. Nie ma podziału ról, że ktoś jest szefową kuchni, kto inny sprząta, kto inny zmywa. Każdy robi wszystko, ale według precyzyjnie ustalonego porządku. Tę samą Karin w pewne dni spotykałem w pralni, gdy przyjmowała bieliznę i ręczniki kąpielowe do prania, kiedy indziej wydającą posiłki w kuchni, jeszcze o innej porze sprzątającą pomieszczenia lub rozliczającą studentów z niewpłaconych kwot za mieszkanie i wyżywienie. Podobnie pracowała w innych dniach lub porach zezowata Gun, ospowata Gunilla, czy pulchniutka Astrid. I wszystkie dbały, by interesów Johna nikt nie zepsuł.

Pamiętam, jaką aferę zrobiła Gun, gdy wziąłem z pracowni kalkulator, na którym pracował zwykle John. Chciałem tylko kilka obliczeń wykonać i oddać, położyć na miejsce. Kalkulator był własnością uczelni i można go było używać w dowolnej chwili. Tak. Można było. Każdy inny, tylko nie kalkulator ze stanowiska Johna. Dbała o to Gun. Bezbłędnie rozpoznała komputerek na moim biurku po ładnej kalkomanii naklejonej na bocznej ściance. Miałem się z pyszna. Wolałbym nigdy nie dotykać tej elektronicznej zabawki. Gdy zapytałem, co robić, by i o mnie tak dbała, Gun odwróciła się energicznie na pięcie i orzekła:

— Ty nigdy nie będziesz Johnem.

Prawda. Nigdy nie będę Johnem. Ale kim on u licha był? Co robił, że wszyscy, bez wyjątku, traktowali go tak serio, z szacunkiem, dystansem? Nawet Eryk, wykładowca języka szwedzkiego, zapytany o Johna powiedział:

— John... to ciekawa sprawa. Powinniście się poznać.

To i chciałem się poznać, ale jak się spotkać z człowiekim którego nie ma? Nie ma, choć wszędzie jest obecny. Nawet sprzęty to podkreślały. Nawet ta gliniana czarka do picia kawy, stojąca nietykalnie na półce w *vardagsrum*, w oczekiwaniu, aż John raczy ją napełnić jakimś płynem. Doczekałem się i ja takiej czarki z wyrytym napisem „Jurik", bo produkowała takie pamiątki łysoruda Walborg podczas zajęć pozalekcyjnych w pracowni technicznej, gdzie stał piec do wypalania ceramiki.

Wreszcie John się zjawił. Była już prawie dwunasta w nocy, tej białej nocy, która nie pozwalała spać bez opuszczenia rolet. Siedziałem przy kawie w pokoju, a tu ktoś delikatnie puka do moich drzwi. Wiedziałem, że nie jest to w szwedzkim stylu, nie przyzwyczajony do jakichkolwiek odwiedzin, z zaciekawieniem podszedłem otworzyć drzwi. Zabaczyłem w nich Ullę Olson i Johna. Ulla była pośrednikiem. John nie znał mnie prawie wcale, więc Ulla szybkim szeptem wyjaśniła:

— Pora niezwykła, ale i gość niezwykły. Zjawił się John, a ty go szukałeś. Wiemy, że nigdy nie śpisz o tej porze, możecie teraz pogadać.

Sięgnąłem po butelkę Smirnoff. Ulla odmówiła kategorycznie. O ile wiem, ze zwykłego zakłamania. A może z oszczędności? Wiedziała, że nie mam pieniędzy, by kupować wódkę, więc nie chciała pomniejszać zapasu? Wiem, że piła i to dość sporo. Kiedyś ujawniła swój magazynek butelek po whisky, częstując mnie w przypływie dobrego humoru.

Regulamin zabraniał picia w akademiku, a i Szwedzi są tacy, że nie tylko szanują przepisy, lecz także udają, że alkohol jest dla nich sprawą godną pogardy.

W rzeczywistości bywa różnie. Można się zalewać w pojedynkę, bo nikt nie pomyśli źle: moż-

na pić prosto z butelki wśród „swoich". Picie w pojedynkę ma nawet swoje zalety nie trzeba się z nikim dzielić.

Na szczęście Johny nie był Szwedem. Sięgnął po butelkę i zanim zdążyłem wyjąć kieliszki, upił spory łyk.

— Chodźmy do mnie — zaproponował.

Przeszliśmy do jego pokoju. Gdy rozejrzałem się, pomieszczenie to wydało mi się dziwnie puste. Było w nim sporo sprzętów, i to bogatych, jak na moje wyobrażenia o życiu w akademiku ale żaden przedmiot nie wskazywał na jego używalność: był martwą rzeczą, leżącą jakby na ladzie sklepowej, a nie w zamieszkanym pokoju w którym ma prawo być nieład. Nie czułem życia w tych sprzętach. Wszystko w tak idealnym porządku, jakby spakowane, przygotowane do drogi. Nie było tego domowego nieładu. Nie było, jak powiadam, życia. Gdyby nie książki na półce poprzewracane niedbale i przemieszane z różnymi papierzyskami, wszystko inne wskazywało na ciągłą gotowość do podróży wyjazdu w nieznane.

Nawet wspaniały stereofoniczny gramofon firmy Sony milczał zamknięty, jak na półce w magazynie sklepowym. John właśnie ten gramofon uruchomił najpierw. Włączył Strawińskiego. Zaskoczył mnie ten „marynarz". Dziwiłem się, ile razy u tak zwanych „prostych ludzi" spotykałem muzykę klasyczną i to w najlepszym wydaniu. Wystarczyło mieć świadomość, że gościom się nie spieszy, a zaraz ktoś włączał tę muzykę. John zaskoczył mnie tym Strawińskim, nie da się ukryć. Wyciągnął wtedy puszkę Tuborga, podał mi w poczęstunku i dodał:

— No, a teraz możemy pogadać. Mów.

Nie pytał mnie, skąd i kim jestem. Nie obchodził go mój status, moje zainteresowanie jego osobą. Słuchał uważnie o moich rozterkach tłumacza, zainteresował się moim polskim zbiorkiem wierszy, a po kilku nieudolnych próbach odczytania polskich słów, roześmiał się, że nic nie rozumie i pozwolił mi mówić dalej, prosząc, bym mu wyjaśnił treść wiersza prozą.

— ...vara fäder vi och vara barn i samma fartyg vi seglar....

— ...ojcowie nasi, my i dzieci nasze w jednym okręcie płyniemy.... Zacząłem czytać. Od pierwszego wersu zamienił się w słuch. Potakiwał głową do rytmu zdań.

— To dobry wiersz — powiedział, ożywiając się, gdy recytowałem fragment:

— ....rano do pracy, wieczór z pracy, w domu o pracy wachta, wachta, wachta, między nimi radosne półlitrówki rumu albo czyściochy, by okręt płynął żwawiej do kresu do horyzontu...

Tę wachtę i te radosne półlitrówki rozumiał. Długo i cierpliwie dociekał, o jakiego bosmana chodzi: z floty handlowej czy z marynarki bo to nie jest równoznaczne. A potem kazał sobie czytać jeszcze raz z tym użytym słówkiem „styrmannen". Gdy już stwierdził, że to dobrze brzmi, zmieniliśmy temat.

Trwał ten nasz dialog długo. Tak długo, że do śniadania zostały tylko dwie godziny snu. Dowiedziałem się wtedy o obcych portach i o ciężkiej pracy na statku, o jego rybackim fachu, o planach podróży jeszcze w tym roku na Daleki Wschód. Słuchałem go, jak opowieści z kawiarenki Klubu Sześciu Kontynentów i gdyby nie pora na krótki odpoczynek, to mógłbym tak słuchać jeszcze wiele godzin, wtrącając nieśmiało co jakiś czas pytania.

Spotkałem go rano podczas lunchu. Łypnął do mnie porozumiewawczo, odwzajemniłem mu mrugnięcie i tak trwaliśmy w milczeniu przy jednym stole. Wyszedł nagle. Nawet nie zauważyłem kiedy.

Przez następne dni nie było go znowu. Pewnej nocy chciałem wyjść i pospacerować. Mimo drugiej po północy nie mogłem zasnąć. Na schodach, gdy zapaliłem światło, dostrzegłem Johna. Nie odezwał się do mnie, szepnął tylko „ćśś" i wyjął z kieszeni klucz. Bez słowa zszedłem na dół.

Przez następne dwa tygodnie zaszły jakieś zmiany w życiu Johna. Słychać było głośną, bitową muzykę na jego stereofonicznej aparaturze, obłędnie głośno odtwarzano kilka razy przeboje Roberty Flack. Słychać było głosy mężczyzn, kobiet....

Wiedziałem, że nie należy się niczemu dziwić, że każdy tu żyje tak, jak chce, w myśl przykazań skrajnego indywidualizmu. Ten indywidualizm wszyscy szanują, więc i mnie nie wypadało się dziwić, czy zastanawiać nad Johnem w rozmowie z kimkolwiek. Wiedziałem, że mimo wypitej wspólnie wódki, czy najserdeczniejszej — zdawać by się mogło — rozmowy, nie należy sobie obiecywać zbyt wiele. Nic ponad zwykłe „hej" w pozdrowieniu. Albo i nawet tego nie. Trudno o przyjaźń w tym zimnym kraju.

Dzięki temu, że niczego się po znajomości z Johnem nie spodziewałem, zdziwił mnie jego gest w dniu pożegnania. Rzeczywiście przyjechał zabrać swe rzeczy. Wyprowadzał się. Pożyczył od Gun jej nowe Volvo i przenosił wszystkie graty z pokoju do samochodu. Zagadał do mnie, to zacząłem mu pomagać w tym noszeniu. Nosimy te jakieś pudła, worki, aż tu na koniec Johny wyjmuje z szafy garnitur. Zdębiałem. Nikt tu nie nosi garnituru, nawet na przyjęciu weselnym, nie licząc technokratów, którzy zawsze wiążą krawat. Gdy przyjrzałem się bliżej, zauważyłem, że nie jest to zwykły garnitur, ale liberia hotelarza. Zapytałem, gdzie teraz płynie.

Zdobył się na gest szczerości:

— Nigdzie, stary. Nigdzie. Ja nigdy nie pływałem. Pracuję w hotelach, ot co. Ale, jak wiesz, oni — tu wskazał ku pokojom sąsiadów — oni w hotelach nie sypiają.

RYSZARD LIS LAUREATEM

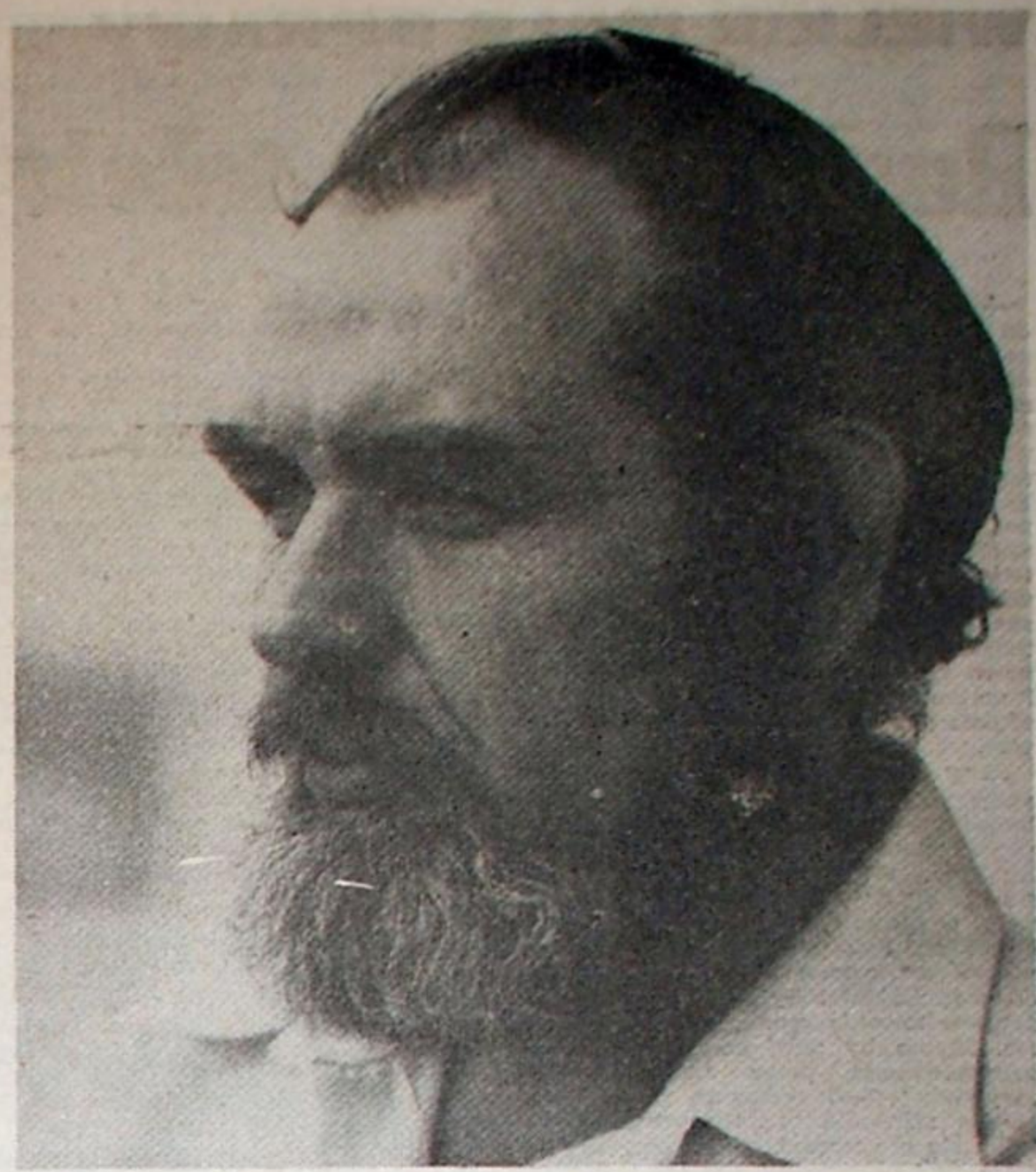

Jak już informowaliśmy Ryszard Lis otrzymał Główną Nagrodę im. Jacka Malczewskiego na XXXIV Ogólnopolskim Salonie Zimowym Plastyki w Radomiu, chwalącym się w tym roku wyjątkowo wysokim poziomem. Otwarcie wystawy, problemowo związanej z „Metaforą we współczesnym malarstwie i rysunku", odbyło się 27 stycznia w salach radomskiego Muzeum Okręgowego. Lubelskiemu artyście serdecznie gratulujemy.

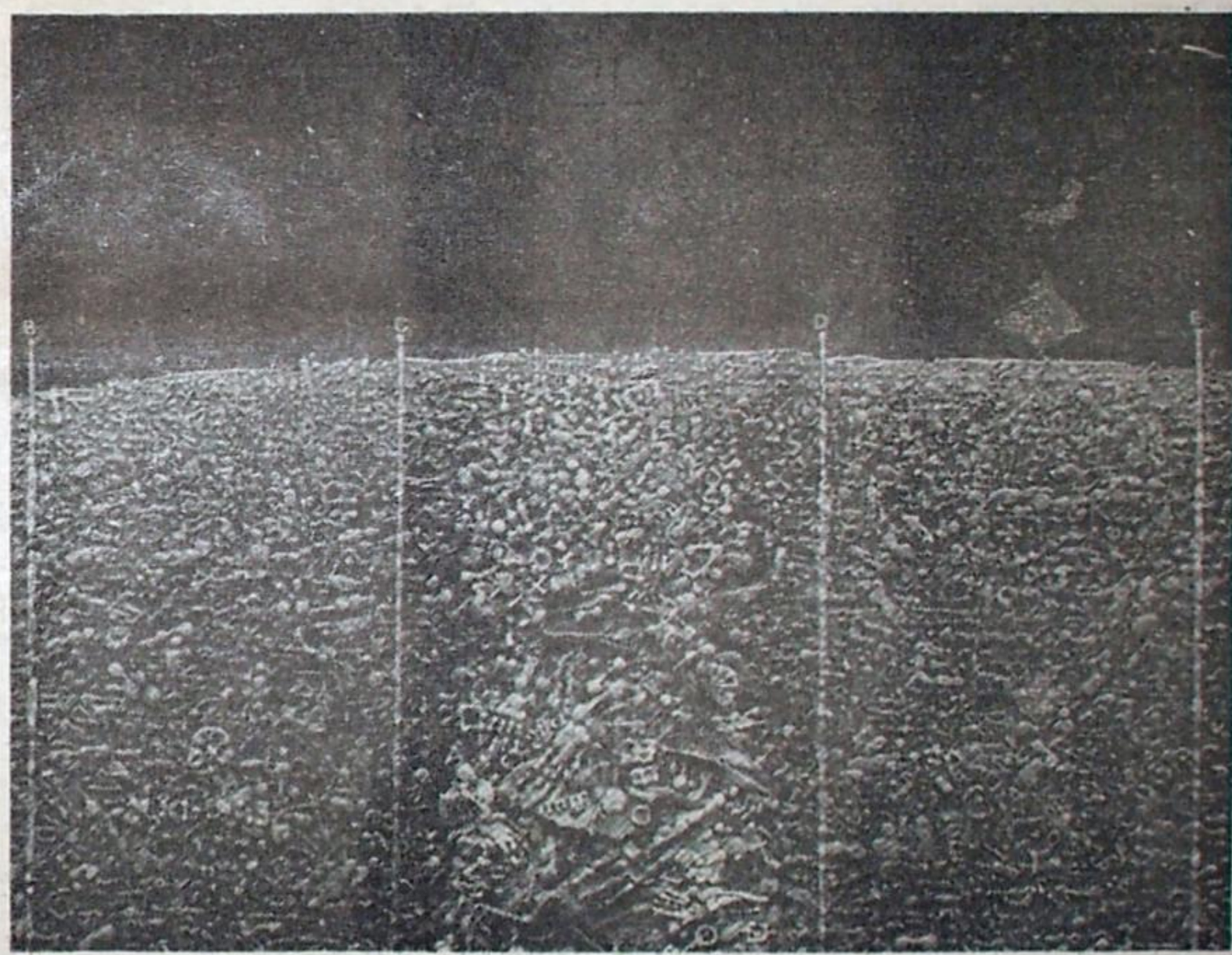

Aleksander Migo

PASYJKA O PIĄTEJ ŚCIANIE

gdy sztuczne słońce raptem wstało
nad kłębkiem ziemi skrawkiem ognia
ireny ciałem zapachniało
i zaskrzypiało wiatrem w krokwiach

nad ciepłą szklanką pochylony
siedzę z adamem od snu biały
ostatni szczur dogasa w sieni
a wiatr nieuleczalnie chory
kobieci kwiaty krzepi mrówki

a my po nocy niedospani
sprawdzamy twarze jak zelówki
czy donosimy je do wiosny
czy w lustro pluć nie będzie trzeba

chociaż nam rosną od lat włosy
jesteśmy wciąż daleko nieba

wciąż nas omija pieśń po ojcu
bezpieczna czułość kolan matki
gdy nas niepamięć straszy nocą
wtedy modlimy się ukradkiem
wtedy nam bliżej i po drodze
do wszystkich zmarłych wszystkich świętych

w niemożliwości twardy orzech
możliwie szczelnie zatrzaśnięci
ja z epilepsją bóg z adamem
czworograniasty cud natury

za balaskami piątej ściany
tragicznie skąpy cień stachury.

WIELKIE MAŁE SPRAWY

Rachunek za telefon

— Panie dyrektorze — zwracam się do zastępcy dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji w Lublinie, Wilhelma Rybaka — sprowadza mnie do pana problem opłat za rozmowy telefoniczne; narosło w ostatnich czasach wokół tej sprawy sporo nieporozumień. Ale może najpierw krótka seria pytań wprowadzających, na tematy bardziej ogólne: Ile mamy telefonów w Lublinie i w województwie? Ile się czeka obecnie w Lublinie na telefon? Jakie są perspektywy rozbudowy sieci telekomunikacyjnej w najbliższych latach? I wreszcie: co z nową książką telefoniczną dla Lublina i województwa, bo ta na rok 1977/78 zdołała się już porządnie zdezaktualizować.

— W województwie mamy 46 663 aparaty telefoniczne; z tego 29 530 telefonów — a więc znacznie więcej niż pięćdziesiąt procent — znajduje się w Lublinie. O zainstalowanie telefonu starają się w województwie 23 tysiące osób; w samym Lublinie leży 17 tysięcy podań. Jak pan widzi, zapotrzebowanie jest ogromne. I bardzo trudne do zaspokojenia. Tym bardziej, że to zapotrzebowanie coraz bardziej wzrasta. Można by powiedzieć tak: każde zainstalowanie przez nas telefonu „wyzwala" 2—3 następne podania; z chwilą założenia aparatu problem nie tylko się nie zmniejsza, ale jeszcze zostaje zwielokrotniony. Od lat jesteśmy w bezustannej pogoni za celem, który ani myśli się przybliżyć. Na przykład w 1965 roku mieliśmy około 9 tysięcy zaległych podań; w stosunkowo szybkim czasie zrealizowaliśmy z tego 6 tysięcy. Ale już narastała równocześnie nowa fala podań. Oddawaliśmy następnie kolejne centrale automatyczne, to wyzwalało nowe podania i tak dalej, i tak dalej... Miasto rozbudowuje się w sposób dynamiczny, rosną nowe osiedla, przybywa ludzi. I dzisiaj — przypominam — czeka na telefony w Lublinie 17 tysięcy chętnych. Dlatego na pytanie, ile się dzisiaj czeka w Lublinie na telefon — mogę odpowiedzieć tylko w sposób pośredni: na przykład w osiedlu Nałkowskich, na Czechowie i Felinie trzeba będzie jeszcze długo czekać. Rozbudowujemy centralę automatyczną na Kalinowszczyźnie o dalszych pięć tysięcy numerów, podobnie jest z centralą na Kośminku: jej pojemność wzrośnie wkrótce o 2400 numerów. Ale nie będę taił, że... gorzej będzie z siecią; są trudności z kablem. Przy okazji chciałbym przypomnieć, że w 1975 r. przybyło na LSM-ie 3 tysiące numerów a w dwa lata później Kalinowszczyzna otrzymała 5 tysięcy numerów. Te sprawy, o których mówimy, to zresztą nie tylko problem lubelski; również ogólnokrajowy.

— Mówi się, że łatwiej u nas o samochód niż telefon...

— I jest w tym dużo prawdy. Pytał pan o nową książkę telefoniczną: ukaże się w lutym. Oczywiście i ona będzie w jakimś sensie „zdezaktualizowana", bo numerów wciąż przybywa. Zasadniczo ukaże stan na 31 lipca 1979 r., choć jeszcze w grudniu udało nam się w drukarni „wcisnąć" szereg uzupełnień.

— Przejdźmy teraz do meritum: od czasu zmiany wysokości opłat telefonicznych, to znaczy od maja ubiegłego roku, daje się zauważyć pewna dezorientacja w tym względzie wśród abonentów.

— Wydaliśmy w odpowiednim czasie specjalną ulotkę informacyjną...

— Panie dyrektorze, ulotka, jak sama nazwa wskazuje, jest pismem „ulotnym", łatwo się gubi, a jej tekst idzie w zapomnienie. Poza tym nie jestem pewien, czy tekst jej był najszczęśliwiej zredagowany, a wiadomości w pełni wyczerpujące. Sprawę komplikuje jeszcze coraz bardziej powszechny system połączeń automatycznych z coraz większymi połaciami kraju. Abonent „wykręca" numer w Puławach lub w Gdańsku, łatwo otrzymuje połączenie, ale nie bardzo właściwie wie, ile mu w tym czasie „licznik bije". Zrobiłem małą ankietę wśród znajomych, nie orientowali się nawet w zasadach, na jakich oparte są rachunki telefoniczne...

— Zacznijmy od tego, że obecnie jedna „jednostka zaliczeniowa" albo: „jedno zaliczenie" wynosi 1 złoty. W obrębie jednej miejscowości, to znaczy np. w Lublinie, jest ono niezależne od czasu trwania rozmowy. Inaczej mówiąc: niezależnie od tego, ile będzie pan rozmawiał z innym abonentem w Lublinie, ta rozmowa kosztuje jedną złotówkę. Tylko w lokalach gastronomicznych, hotelach, kioskach „Ruchu", za korzystanie z telefonu płaci się 2 złote. Nie uległ również zmianie tzw. „abonament". Wynosi on sto złotych miesięcznie i mieści się w nim opłata za sto „zaliczeń", czyli np. sto rozmów w Lublinie. Sprawa „komplikuje się", gdy chodzi o automatyczne połączenie z innymi miejscowościami w kraju. Obowiązuje w tym względzie system strefowy: I strefa dotyczy miejscowości położonych w odległości do 25 kilometrów od centrali, II — liczy się od 25 do 100 km, III — powyżej 100 km. W I strefie — co 30 sekund następuje jedno zaliczenie, a więc licznik „wybija" 1 złoty. W strefie II — zaliczenia następują co 10 sekund (od godz. 6.00 do 16.00) lub co 20 sekund (od 16.00 do 6.00 rano). Jednominutowa rozmowa kosztuje więc 6 zł albo 3 zł. W III strefie — przy odległościach ponad 100 km — zaliczenia następują co 5 sekund w ciągu dnia i co 10 sekund — od czwartej po południu do szóstej rano. Tak więc np. jednominutowa rozmowa z Gdańskiem kosztuje abonenta 12 zł (5 sek. mieści się 12 razy w 1 minucie) albo — stosownie — 6 zł. Znając odległości od miejscowości, z którą rozmawiamy, łatwo możemy sobie już z góry obliczyć, ile będzie nas kosztowała rozmowa, lub czy nie należałoby już przerwać konwersacji. Na przykład dziesięciominutowa rozmowa w ciągu dnia z Gdańskiem, która — wydaje się — trwała „tylko chwilkę", obciążyła nasze konto licznikowe na 120 złotych... Zaś co do samych rachunków: np. rachunek „za styczeń" (który zresztą przychodzi dopiero po 15-tym) oznacza, że dotyczy on opłaty „abonamentu" za ten miesiąc. Pozostała suma to rozliczenie rozmów licznikowych, „międzymiastowych" (jeśli są dokonywane za pośrednictwem „telefonistki" w centrali), telegramów, budzenia itp. zleceń — za ubiegły miesiąc kalendarzowy, w tym wypadku — grudzień.

— Dobrze o tym wiedzieć, bo nieraz przyjeżdżamy po miesięcznym urlopie, a w domu czeka na nas rachunek... „za miesiąc, kiedy nie było nas"?

— Właśnie. A tymczasem rozliczenie dotyczy miesiąca poprzedzającego wyjazd na urlop. I często suma do zapłacenia jest wyższa niż zazwyczaj: bo przed urlopem mieliśmy masę spraw do załatwienia, telefonowaliśmy bardzo dużo, a teraz o tym nie pamiętamy.

— No dobrze. Ale nawet biorąc pod uwagę wszystko, o czym pan dyrektor mówił: czy abonenci istotnie tylko dlatego, że nie są dostatecznie poinformowani więcej „wydzwaniają", czy też istnieją jeszcze jakieś inne przyczyny wysokich, nieraz bardzo wysokich, rachunków telefonicznych?

— Istotnie abonenci „nadzwaniają" więcej niż dawniej. Ale to się przede wszystkim wiąże z tym, o czym już wspomnieliśmy, z rozwojem połączeń automatycznych w kraju. Po prostu posiadacz telefonu ma dzisiaj więcej możliwości kontaktu z odległymi nieraz miejscowościami i przychodzi mu o wiele łatwiej uzyskać połączenie. Dzisiaj za pośrednictwem automatu możemy natychmiast połączyć się z Puławami, Zamościem, Chełmem, Kraśnikiem, Krasnymstawem i dwunastoma innymi miejscowościami dawnego województwa lubelskiego: że już nie wspomnę o tzw. „Agatkach", czyli automatycznych centralach gminnych. A za pośrednictwem numeru kierunkowego do Warszawy, czy też innych numerów kierunkowych, możemy niezwłocznie rozmawiać z dalszymi 70—80 miastami w kraju...

— A ile macie w ciągu miesiąca interwencji i odwołań w sprawie za wysokich, zdaniem abonentów, rachunków za telefon? Ile z nich uważacie za uzasadnione?

— W ciągu 1979 roku otrzymaliśmy z całego województwa 1012 reklamacji....

— Mówi pan dyrektor o reklamacjach pisemnych i ustnych?

— Tylko o pisemnych, bo tylko takie bierzemy pod uwagę. Statystycznie rzecz ujmując, było więc 80—90 reklamacji miesięcznie. Fakt, że nasilenie nastąpiło po maju ubiegłego roku: przedtem otrzymywaliśmy 40 do 50 odwołań w ciągu miesiąca.

— A ile z tych reklamacji uznaliście za uzasadnione?

— Za słuszne uznaliśmy 90 reklamacji w roku ubiegłym: z tego przytłaczająca większość dotyczyła zresztą abonentów spoza Lublina... Abonenci z Lublina złożyli 875 reklamacji, z tego słusznych było 33, t.j. 3,8%.

— To znaczy, że system obliczania rachunków telefonicznych nie jest taki idealny?

— System jest jak najbardziej idealny i prawidłowy. Natomiast zdarzają się zwarcia przewodów, zawilgocenie kabla itp., co może się m. in. odbić na pracy licznika; każdy telefon ma u nas osobny licznik. Jeżeli zachodzi podejrzenie nieprawidłowego funkcjonowania licznika, podłączamy specjalne urządzenie kontrolujące, tzw. „rejestrator połączeń jednostek licznikowych". Odnotowuje on wszystkie rozmowy telefoniczne, czas ich trwania, numer telefonu, a nawet numer kierunkowy (stąd wiemy, z jakim miastem nastąpiło połączenie), wszystko to „rejestrator" zapisuje na specjalnej taśmie. Łatwo więc wychwycić błędy lub też... udowodnić abonentowi, że prowadził np. rozmowy zamiejscowe, chociaż twierdzi on, że takowych nie było, itp...

— Tak czy inaczej, na co dzień abonent musi przyjmować „na wiarę" odczyt licznika. Bez możliwości sprawdzenia, czy jest on prawidłowy. Inaczej niż w przypadku korzystania z energii elektrycznej czy z gazu; tam może w każdej chwili zerknąć na licznik wiszący w jego mieszkaniu na ścianie i udowodnić swoje racje inkasentowi...

— No cóż... Abonenci wysuwają takie pretensje. Ale, panie redaktorze, jest to system obowiązujący na całym świecie! Umieszczanie licznika w mieszkaniu abonenta byłoby szalenie skomplikowane i bardzo kosztowne... Muszę powiedzieć, że nigdy nie odmówiliśmy sprawdzenia obliczeń, jeżeli ktoś tylko tego zażądał. A mamy takich abonentów, którzy proszą o uzgodnienie stanu licznika, co pięć albo co trzy dni. I w końcu przyznają nam rację... W ubiegłym roku stwierdziliśmy w Lublinie tylko dwa uszkodzenia liczników. Na 29 tysięcy działających aparatów!

— Istnieje zasada, że abonent zobowiązany jest do zapłacenia rachunku, nawet jeśli ma poważne zastrzeżenia co do jego słuszności i choć wystąpił z reklamacją. A jeżeli rachunek prywatnego abonenta jest wyjątkowo wysoki, na przykład 5 tys. zł, i przeprowadzona następnie kontrola instalacji ustali, że licznik się „pomylił" — czy właściciel może otrzymać zwrot owej „nadpłaty"?

— Oczywiście. Albo zwracamy pieniądze, albo stosujemy „bonifikatę" w następnych miesiącach, aż do wyczerpania nadpłaconej sumy.

— Czy często zwracacie gotówką?

— Abonenci zazwyczaj wolą, żeby odliczać nadpłatę w następnych rachunkach.

— A jeżeli licznik się nie pomylił czy istnieje inna forma pomyłki w rachunku telefonicznym? I czy tylko na sygnał ze strony abonenta orientujecie się, że mógł powstać błąd?

— Zacznijmy przede wszystkim od tego, że my nie wysyłamy błędnych ustaleń. Istnieje w tym względzie cały system zabezpieczeń. Po spisaniu stanu liczników (dokonuje się w tym celu zdjęć fotograficznych od razu 100 liczników, a następnie wyświetla się je w powiększeniu za pomocą rzutnika, aby wyraźniej było widać zapis cyfrowy) i po wyperforowaniu danych dla komputera, który dokonuje obliczeń, następuje tzw. „próbny wczyt liczników" albo: „tabulogram TW-6", który sygnalizuje ewentualne błędy. Na przykład mylne podanie lub wpisanie cyfry przez pracownika. Po skorygowaniu następuje drugi wczyt liczników, prawidłowy. Dopiero te dane wchodzą do rachunków. Po otrzymaniu z komputera gotowych już, wydrukowanych rachunków, przed ich rozesłaniem do abonentów sprawdzamy wszystkie te, w których wysokość rozmów licznikowych przekracza 400 złotych. W ubiegłym roku dzięki temu systemowi nie mieliśmy ani jednej pomyłki w wysyłanych rachunkach. W 1978 r. była tylko jedna.

— Czy istnieje możliwość — słyszy się nieraz takie zdania — okresowego podłączenia się przez nieuczciwego „montera" w tzw. szafce i prowadzenia rozmów telefonicznych na koszt abonenta?

— Teoretycznie tak. Tylko po co? Przecież taki pracownik mógłby o wiele łatwiej skorzystać z aparatu służbowego... To tak samo, jak z tymi legendami, że pod koniec roku rachunki są wyższe, bo „poczta" dolicza jakąś „przeciętną", żeby wyrobić plan finansowy... Jest to oczywista nieprawda. Po prostu pod koniec roku, na Barbary, „na Mikołaja", przed świętami i w okresie Sylwestra korzystamy z telefonu częściej niż kiedykolwiek. A tymczasem licznik „stuka"...

— Co robić, jeśli ma się wątpliwości co do rachunku?

— Składać u nas pisemną reklamację. Zajmuje się tymi sprawami Wydział Opłat Telekomunikacyjnych w Lublinie przy ul. Koryznowej 2 d. A na Poczcie Głównej jest specjalne stanowisko, gdzie można złożyć podanie lub zasięgnąć informacji.

— Mimo że z pewnością wszystkiego nie wyjaśniliśmy, dziękuję panu dyrektorowi za rozmowę. Oby to, o czym mówiliśmy, przekonało w pełni waszych abonentów, a naszych czytelników.

Rozmawiał: **Mirosław Derecki**

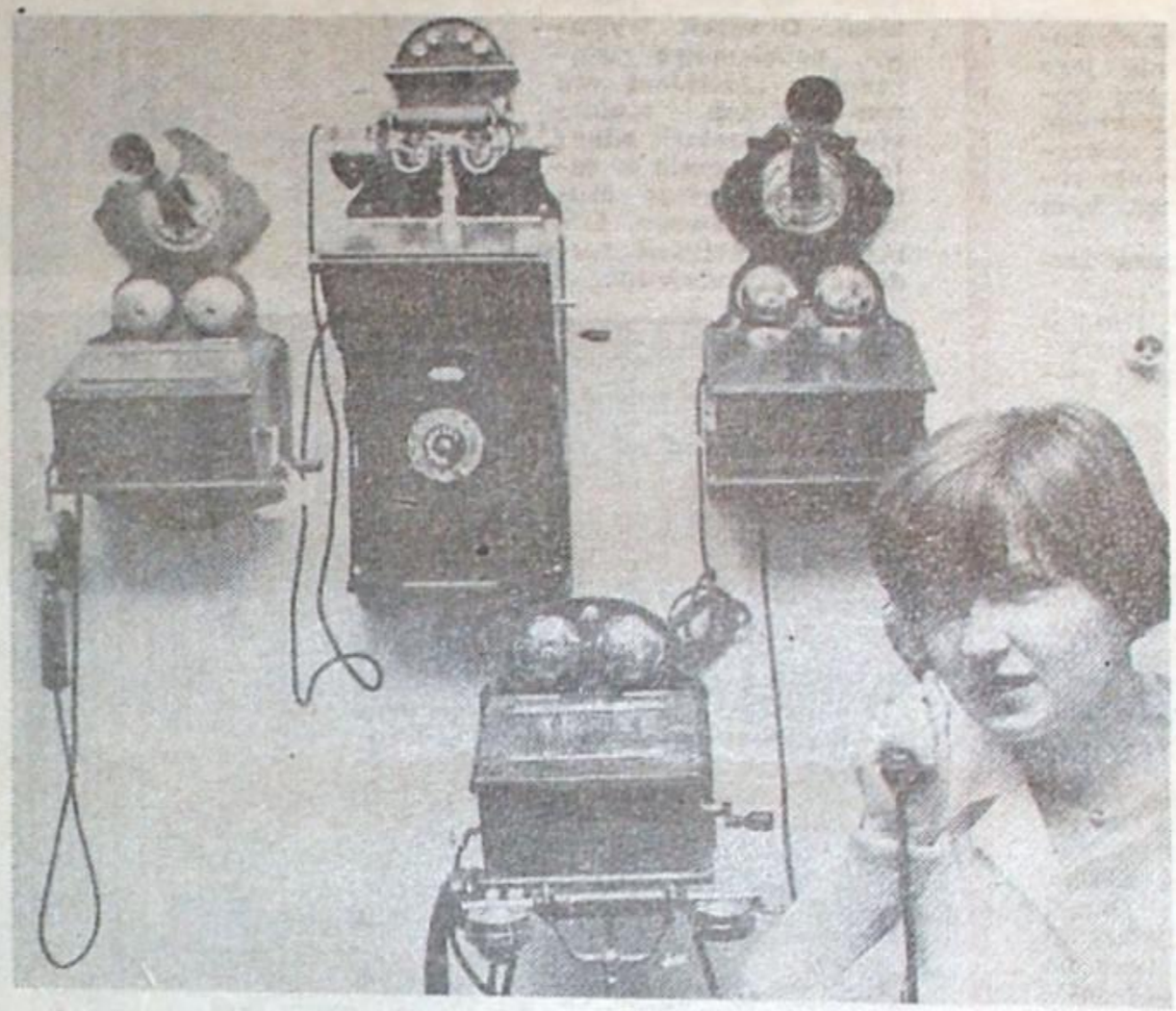

Stare telefony nie rdzewieją

Fot. W. Stępień

Kaisyn Kuliew

WSPOMNIENIE ZIMY

W lustrze czasu widzę swe dzieciństwo.
Srebro domów z dłuta zimy spływa.
To Czegem — dawnych lat królestwo
W powieści białych liter ponownie odżywa.

Z daleka przyszedł gość nieznany,
Śnieżne cekiny ma na futrze.
W cieście się topią dłonie mojej mamy...
Nie, ten obraz nigdy nie umrze.

Drogi i wzgórza pod anielskim pudrem
Opadłym ze szczypiec cukiernika szronu,
Jutro na stokach śnieżny koktail utrę
Łyżką sanek niecierpliwie czekających w domu.

Tak cicho szemrze potok słów
Gość siedzi przy kominku
Zmęczony wyczekuję snów
I słyszę tylko — tylko.

A śnieg pierzynę na dach zrzucił
I głazy rosną u mych powiek,
A gość rozmawia jakby nucił
I gaśnie także grajek-ognik.

Tampon słów oczy mi zamknął
I odpłynąłem w inny port.
Nie ma już ognia i gość też zniknął
Są tylko sanki i śniegu tort.

Snem płynę szybko do dnia przystani,
Bo piękny jest bez rysy biedy...
Tak, to był dobry dzień, dzień mych sani
I jeszcze matka była wtedy.
1964

Z rosyjskiego przełożył Zenon Miernicki

Fot. W. Stępień

Nad dorobkiem lubelskiego środowiska literackiego

Józef Zięba

GROMADZĄC nazwiska, książki i dane osobowe pisarzy w związku z przygotowywaną w Muzeum Józefa Czechowicza wystawą podsumowującą trzydziestopięcioletni dorobek lubelskiego środowiska literackiego, nie mogłem oprzeć się kilku refleksjom.

Lista nazwisk niepomiernie się wydłużyła, przekraczając setkę osób, a wydane książki przekształciły się w biblioteczkę liczącą prawie czterysta samoistnych pozycji bibliograficznych.

Zastanawiałem się, czy jak na okres trzydziestu pięciu lat to dużo, czy mało? Brak porównania z innymi środowiskami nie pozwalał dokładnie wymierzyć proporcji. Na podstawie posiadanej ogólnej orientacji plasowałbym Lublin gdzieś na szóstym, siódmym miejscu w kraju.

Jeśli przyłożyć miarę przeszło czterdziestu pozostających w tyle województw i miarę dawnego zacofania oraz kompleksów przysłowiowej Polski „B", to chyba należy się cieszyć, że ośrodek lubelski nie jest białą plamą na mapie literackiej kraju, ale jeśli spojrzeć na przedstawiony dorobek z perspektywy rosnących ambicji, to chyba nie skłania on do zbytniej zarozumiałości.

Znając jednak powojenne dzieje miasta i kraju, można się szczycić, że mimo wszystkich kłopotów i trosk o chleb powszedni lubelscy pisarze aż tyle zrobili.

Środowisko to kształtowało się jako pierwsze w kraju. Gdy duża część Polski pozostawała jeszcze pod okupacją, w Lublinie zaczął się organizować Związek Zawodowy Literatów Polskich, ukazało się pierwsze literackie pismo „Odrodzenie" i wyszły pierwsze literackie pozycje książkowe. Były to tomiki wierszy Mieczysława Jastruna, Juliana Przybosia, Jerzego Putramenta i Adama Ważyka. Niemal w tym samym czasie w Krasnymstawie Józef Nikodem Kłosowski wydał tomiczek partyzanckich pieśni. Tych pięć skromnych poetyckich książek miało wymiar niemal symbolu. Wskazywały one, że życie w wyzwolonej części kraju wraca do normy, a pisarze dzięki zapoczątkowanym przemianom społecznym mogą liczyć na szeroki odbiór swoich książek.

Po odpłynięciu z Lublina wysokiej fali pisarzy zgromadzonych wokół PKWN na nowo zaczęło się kształtować życie miejscowego środowiska literackiego. Na początku 1945 roku powstał Lubelski Klub Literacki, a w maju Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich. Obydwie organizacje, zjednoczone pod kierownictwem Juliusza Kleinera, rozpoczęły intensywną działalność. Organizowano liczne spotkania autorskie, dyskusje i odczyty na tematy literackie. Zaczęły pojawiać się nowe książki. Szereg lubelskich publikacji literackich zapoczątkował „Wybór wierszy poetów lubelskich" zawierający utwory Julii Hartwig, Anny Kamieńskiej, Zygmunta Mikulskiego, Zbigniewa Piotrowskiego, Jerzego Pleśniarowicza, Igora Sikiryckiego i Stanisławy Zakrzewskiej. Grupa ta stanowiła naturalne zaplecze dla Oddziału, skupiającego między innymi takich pisarzy, jak wymieniony już Juliusz Kleiner, Jan Parandowski, Feliks Araszkiewicz, Maria Bechczyc-Rudnicka, Józef Nikodem Kłosowski, Kazimierz Andrzej Jaworski, Ludwik Zalewski i inni.

Obecność w Lublinie znamienitych autorów sprawiła, że lubelski ośrodek stał się wkrótce jednym z bardziej znaczących w kraju. Skutkiem aktywności twórczej środowiska było powołanie własnego pisma pt. „Zdrój", a z inicjatywy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego odrodziła się po okupacyjnej przerwie „Kamena". Miejscowi działacze oświatowi zorganizowali wkrótce spółkę wydawniczą „Lamus". Oficyną tą nie pogardzili Feliks Araszkiewicz, Maria Dłuska i Juliusz Kleiner.

Niestety, ten krótki okres prosperity został zahamowany przez tendencje zmierzające do centralizacji życia społecznego i kulturalnego kraju. W tej sytuacji Juliusz Kleiner przeniósł się w 1949 roku do Krakowa, a w roku następnym wyjechał do Warszawy Jan Parandowski. Za nimi odpłynęli młodzi. Na szczęście pozostali jednak: Feliks Araszkiewicz, Maria Bechczyc-Rudnicka, Konrad Bielski, Eugeniusz Gołębiowski, Wacław Gralewski, Józef Nikodem Kłosowski, Helena Platta, Ludwik Zalewski i inni.

Najtrudniejszy dla środowiska literackiego był rok 1950. W roku tym Lublin nie posiadał żadnego pisma literackiego, nie ukazała się ani jedna oryginalna książka lubelskiego pisarza, honoru bronił tylko jeden przekład z literatury obcej. Impas ten przełamywano z wielkim trudem, wydając poza Lublinem nieliczne publikacje książkowe, a na miejscu wznawiając w 1952 roku „Kamenę", która zaczęła ukazywać się bardzo nieregularnie.

Szansę szerszego działania otworzył dopiero rok 1957. „Kamena" z miesięcznika przekształciła się w dwutygodnik, powstał nowy Lubelski Klub Literacki, wydający dodatek do „Kuriera Lubelskiego" pt. „Teraz", została zorganizowana Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, młodzi wydali sześć powielaczowych tomików wierszy. Zryw ten był jednak krótkotrwały. W roku następnym przestał ukazywać się dodatek „Teraz", Lubelski Klub Literacki zawiesił swoją działalność, a Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza wydała zaledwie jedną książkę lubelskiego pisarza. Okazało się, że aktywność twórczą środowiska nie jest łatwo odbudować.

Stan taki przedłużał się; dopiero około 1965 roku osiągnięto pozycję zajmowaną w roku 1948. Tych przeszło piętnaście lat oznaczało dla Lublina stratę co najmniej jednego pokolenia literackiego. Młodzi w dalszym ciągu opuszczali miasto. Odbijało się to bardzo niekorzystnie na rozwoju lubelskiego środowiska literackiego. Na rynku księgarskim ukazywało się ciągle niewiele książek lubelskich pisarzy, a Lubelski Oddział ZLP nie mógł powiększyć swego stanu osobowego. Dopiero około połowy lat sześćdziesiątych zaczęli napływać do Związku nowi kandydaci. Po raz trzeci odrodził się Lubelski Klub Literacki, skupiający pisarzy po debiucie książkowym. Wielu z nich przygotowywało się do złożenia podania o przyjęcie do Związku. Był to już najwyższy czas, bo wkrótce miała nastąpić naturalna wymiana pokoleń.

Wymiana ta dokonała się w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Odeszli wówczas Konrad Bielski, Wacław Gralewski i Kazimierz Andrzej Jaworski, najwybitniejsi przedstawiciele pokolenia pamiętającego czasy Czechowicza i „Reflektora".

Na opuszczony przez nich teren wstępują młodsi, a właściwie pisarze średniego pokolenia, bo pożycję „młodych" zajęli jeszcze inni. Od początku lat siedemdziesiątych można mówić już o naturalnym obiegu krwi w środowisku literackim. Każdy rok przynosi nowe przyjęcia do Związku, każdy też nowe debiuty. Szczególnie okres ostatnich trzech lat dzięki trzem seriom Lubelskich Prezentacji Poetyckich był bardzo łaskawy dla debiutantów. W tym czasie na rynku księgarskim pojawiło się około dwudziestu pięciu nowych nazwisk. Również i Związek Literatów osiągnął w Lublinie nienotowaną dotąd liczbę dwudziestu pięciu członków. Niemal wszyscy przejawiają dużą aktywność twórczą. W efekcie — w ostatnim okresie lubelskie środowisko literackie może się wylegitymować wydaniem w ciągu jednego roku przeszło dwudziestu książek.

Najlepszym przykładem aktywności twórczej całego środowiska może być rok miniony. W roku tym obok dwu książek Marii Bechczyc-Rudnickiej, seniorki w pełni sił twórczych przekraczającej dziewięćdziesiątkę, znalazło się aż sześć debiutów poetyckich, a wśród nich autora, który osiągnął zaledwie dwudziestkę.

Już dziś widać, że w nadchodzącym dziesięcioleciu lubelskie środowisko literackie znacznie wzrośnie, powstaną nowe, bardziej znaczące i liczące się na rynku literackim dzieła, pojawią się nowe nazwiska. Z perspektywy tej należy się cieszyć, chociaż wraz ze wzrostem pojawią się bez wątpienia i nowe problemy, którym trzeba będzie sprostać.

SOBIESCY

AWANS RODU

Adam Andrzej Witusik

Wojewoda lubelski Marek Sobieski

GNIAZDEM rodowym Sobieskich była wieś Sobieszyn, leżąca w powiecie stężyckim województwa sandomierskiego. Żyjący w połowie XV wieku Mikołaj Sobieski oprócz Sobieszyna posiadał tam jeszcze trzy inne wsie — Radoryż, Lendo i Ulże.

Mikołaj Sobieski miał czworo dzieci: synów — Stanisława i Piotra oraz dwie córki — Jadwigę i Katarzynę. Prawie całość majątku po Mikołaju Sobieskim — Radoryż, Sobieszyn, część Lenda i Ulże — dostała się jego najstarszemu synowi Stanisławowi. Ze schedy ojcowskiej tylko wieś Lendo uległa podziałowi i dzierżyli ją Stanisław, Piotr i Katarzyna.

Stanisław Sobieski znacznie powiększył majątek. Ożeniwszy się z Małgorzatą Krzyniecką, otrzymał w jej wianie część Skrzyńca, Wierzchowisk i Chmielnika. Wsie te leżały w województwie lubelskim.

Stanisław Sobieski pozostawił liczne potomstwo: synów — Mikołaja, Walentego, Zbigniewa i Sebastiana oraz córkę Urszulę. Sebastian — to prapradziadek króla Jana III.

Sebastian Sobieski gospodarował w dobrach królewskich Pilaszkowice pod Krasnymstawem i to gospodarował tak dobrze, iż potomkowie jego siedzieli tam jako właściciele. Sebastian przez małżeństwo z Barbarą Giełczewską stał się dziedzicem Woli Giełczewskiej, która wkrótce została nazwana Wolą Sobieską. Synami Sebastiana Sobieskiego byli: Mikołaj, który zmarł bezdzietnie, Stanisław, który poślubił Katarzynę Oleśnicką, i Jan, który ożenił się z Katarzyną Gdeszyńską. Ten ostatni to pradziadek przyszłego monarchy.

I tak ciągnęła się przez XV—XVI wiek saga rodu Sobieskich, rodu jeszcze nie senatorskiego, ba, którego członkowie nie sprawowali nawet urzędów powiatowych. Dopiero syn Jana Sobieskiego i Katarzyny z Gdeszyńskich — Marek jako pierwszy w rodzie Sobieskich sięgnął po godność senatorską i zgromadził znaczny majątek, kładąc tym samym podwaliny pod przyszłą już magnacką potęgę rodu.

W drugiej połowie XVI wieku dokonał się fakt niezmiernie ważny dla dziejów Rzeczypospolitej. Była nim unia lubelska 1569 r. — akt prawno-polityczny, opierający na nowej podstawie już blisko dwuwiekowy związek Polski z Wielkim Księstwem Litewskim. Unia lubelska wiele zmieniała: przede wszystkim przyłączono do Korony część Podlasia, Wołyń, Bracławszczyznę i Kijowszczyznę. Przed możnowładztwem i szlachtą otwarła się możliwość budowania latyfundiów, własnych potęg rodowych, „magnackich" państw na południowym wschodzie. Jednym z tych, którzy wyzyskali tę koniunkturę był syn Jana Sobieskiego — Marek, u schyłku życia wojewoda lubelski i właściciel dóbr złoczowskich.

Dawniej możnowładztwo nie stanowiło w Koronie warstwy stabilnej, grupy rodzin czy rodów, które swą ekonomiczną i polityczną potęgę przekazywałyby z pokolenia na pokolenie. Jedne rody pięły się w górę, inne podupadały. Istniał ciągły ruch, bezustanna fluktuacja. Sytuacja zmieniła się po unii lubelskiej. Pod koniec XVI wieku kształtuje się w Koronie warstwa magnacka, rekrutująca się bądź ze średniej szlachty, bądź ze starego możnowładztwa rodowego, głównie jednak ze średniej szlachty. Ta warstwa magnacka okazała się już trwalsza. Wespół z magnaterią litewsko-ruską dotrwała w swym podstawowym trzonie aż do XX stulecia.

Droga awansu społecznego tych uprzednio średnioszlacheckich rodzin bywała dość różna, lecz charakterystyczą jej cechę stanowiło powiększenie majątku z równoczesnym robieniem kariery politycznej. Aktywna działalność gospodarcza średnio zamożnego szlachcica (nawet właściciela kilku najlepiej zagospodarowanych wsi z folwarkami) nie mogła wynieść go do rzędu magnata. By dźwignąć się do pozycji magnackiej, należało uzyskać wysokie urzędy i wysokie dochody, przede wszystkim pochodzące z dóbr królewskich, ze starostw. Istniała jak gdyby łączność między wysokim urzędem i posiadaniem licznych i bogatych starostw. Im wyższy posiadało się urząd, im bliżej było się króla, tym więcej potrafiło się skumulować starostw. Przyglądając się karierze tych, którzy zapoczątkowali potęgę swego rodu, widzimy trzy zasadnicze drogi awansu: pierwsza — dwór królewski, zwłaszcza funkcja sekretarza królewskiego, druga — służba wojskowa i trzecia — protekcja możnych (duchownych lub świeckich). Oczywiście w pewnych momentach drogi te mogły się zazębiać czy nakładać.

Autor „Herbów rycerstwa polskiego", Bartosz Paprocki, tak pisał o synu Jana Sobieskiego i Katarzyny z Gdeszyńskich: „Był wieku mego Marek Sobieski, mąż sławny, który we wszystkich potrzebach, jako naprzód pode Gdańskiem, potem w Moskwie przez wszystek czas męstwo swe znaczne okazywał... Żadnego harcu ani potrzeby żadnej ten zacny mąż nie omieszkał, w każdej wiele a mężnie sobie poczynał".

Marek Sobieski, dziadek króla Jana III, najpierw chorąży nadworny koronny, później kasztelan lubelski, wreszcie wojewoda lubelski, był człowiekiem dzielnym, twardym, wiernym ojczyźnie i królowi, typem klasycznego żołnierza i polityka szlacheckiej Rzeczypospolitej. Marek Sobieski odznaczał się olbrzymią siłą fizyczną i brawurową odwagą, należał do najbardziej znanych harcowników w Polsce. Król Stefan Batory, u którego cieszył się on szczególnymi względami, miał rzec: „Gdyby los całego królestwa od jednego harcu zależał, nikomu bym bezpieczniej w tym razie nie ufał, nad Marka Sobieskiego".

Marek Sobieski był przede wszystkim żołnierzem. Wystarczy powiedzieć, że z 55 lat swego życia blisko jedną trzecią spędził w wojsku. Ponad piętnaście lat na koniu, na wszystkich drogach środkowej i wschodniej Europy, od Gdańska aż po Dunaj, od Pskowa po Byczynę. Walczył z różnymi przeciwnikami — z wojskiem moskiewskim, cesarskim, wołoskim. Wielokrotnie był ranny.

W 1577 r. Marek Sobieski uczestniczył na czele własnego pocztu w uśmierzaniu zbuntowanych gdańszczan, nie uznających wyboru Stefana Batorego na króla Polski. Rozgłos i sławę przyniosły mu przede wszystkim wojny polsko-moskiewskie prowadzone przez Batorego, podczas których „dzielnie i szczęśliwie sobie poczynał". Dobrze poinformowany Bartosz Paprocki pisał: „Sobieski w walkach z Moskwą pod Toropcem, dwóch Moskwiecinów znacznych zabił, a na harcu postrzelon trzykroć, jedną strzałą przystrzelon do siodła za żupan i za ubranie, drugą w ramię prawe, wszakoż tylko w kopieniak, trzecią w piersi koniowi, która tak tkwiła aż do swych przyjechał. Pod Luczenem postrzelon w rękę, gdy od króla (Batorego) był na rokowanie do Moskwy posłan i już się mu był w ramię piekielny ogień wrzucił, wszakoż jednak uleczon. Pod Pskowem z działa w tył, wszakoż tylko w delię postrzelon, i konia mu przez kłąb tamże z ruśnice postrzelono".

Karierę polityczną, idącą wówczas w parze z karierą majątkową, zawdzięczał Sobieski ścisłemu związkowi z kanclerzem i hetmanem Janem Zamoyskim, którego politycznym stronnikiem i przyjacielem pozostawał przez wiele lat.

Po śmierci króla Stefana Batorego poparł Sobieski wraz z Zamoyskim kandydaturę królewicza szwedzkiego Zygmunta Wazy, po kądzieli Jagiellona, na tron polski przeciwko kandydaturze arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Wobec rozdwojonej elekcji o zwycięstwie zadecydować miał oręż. W czasie krótkiej kampanii Sobieski odegrał rolę wybitną. Uczestniczył w odparciu Maksymiliana spod Krakowa, a następnie w bitwie pod Byczyną. Był wówczas najbliższym pomocnikiem i doradcą hetmana Zamoyskiego, kierującego działaniami wojennymi.

Po wiktorii byczyńskiej i dostaniu się Maksymiliana do niewoli Sobieski pilnował z rozkazu Zamoyskiego dostojnego jeńca, więzionego w Krasnymstawie. „Jaśnie Wielmożny, a mnie miłościwy Panie! — pisał Sobieski do Zamoyskiego w liście z 13 kwietnia 1588 r., donosząc mu o samopoczuciu arcyksięcia i innych więźniów krasnystawskich. — Z łaski miłego Boga wszystko tu dobrze. Arcyksiąże JMść zdrów dobrze. Wojewoda poznański (Stanisław Górka, stronnik Maksymiliana) szkodliwie chory: piciem się skaził... Inni panowie zdrowi. Hanibal (sekretarz arcyksięcia) się też wyleżał, także i drudzy Niemcy, oprócz jednego pisarza, który wczora umarł... W pilności naszej nie ustawamy. W Panu Bogu nadzieja, że niczem WMści nie zafrasujem... O przeniesienie się zowąd, na rozkazanie WMści czekam, aleć jeśli dla chorób ciż ludzie pójdą z nami? Do Zamościa i sam nie radzę: naprzód o zaniesienie chorób idzie, potem też szkody takuczkiej, jaka tu jest, miasto by nie uszło... Proszę abyś WMść mój MPan za złe mieć nie raczył, jeśli więc listy nie tak często, jak WMść każe, będę WMści dochodziły, barzoś się to tam WMść daleko od nas odemknął... Pan wojewoda wołyński (Janusz Ostrogski) przysłał tu z listem sługę swego do arcyksiążęcia, oddaciem mu go nie pozwolił. Powiedział mi, że nie masz w niem nic, jeno nawiedzając; kazałem mu to przy sobie ustnie odprawić. Nie barzo był tego arcyksiąże wdzięczen".

Kilka miesięcy później, w liście z 5 sierpnia 1588 r., prosił Sobieski Zamoyskiego o zwolnienie go z ciężkiego obowiązku czuwania nad uwięzionym arcyksięciem Maksymilianem: „Jaśnie Wielmożny, a mnie wielce miłościwy Panie! Z pana Popławskiego zrozumieć WMść będziesz raczył, że ani w Nowym Mieście (Korczynie), ani w Wiślicy nie chce mieć arcyksiążęcia JMść Pan wojewoda sandomierski (Jan Teczyński)... Ja dla Boga proszę mój MPanie, raczże mię WMść z tej niewolej wyzwolić. Mam żonę, dzieci, w te trwogi ani wiem, co z niemi. Zabrałem konie, sługi z domu... Wszakem dosyć trwał z niemałym kosztem swym i pracą, niech wżdy już temu będzie koniec uniżenie WMść mego MPana proszę".

W 1600 r. uczestniczył Marek Sobieski pod rozkazami Zamoyskiego w wyprawie przeciwko hospodarowi wołoskiemu Michałowi i dotarł aż do brzegów Dunaju. Miał wybitny udział w świetnym zwycięstwie nad rzeczką Telczyną pod wsią Bukowa, niedaleko Ploesti. Sprawował wówczas dowództwo nad prawym skrzydłem i zadał stanowczy cios piechocie nieprzyjacielskiej. W końcowej fazie tej wojny dowodził natomiast całością wojsk polskich. Dwa lata później, na mocy uniwersału królewskiego, z racji piastowania urzędu wojewody prowadził szlachtę lubelską na Ukrainę celem bronienia granic Rzeczypospolitej od Tatarów.

Dzięki poparciu Jana Zamoyskiego, który zabiegał dla niego o godności i urzędy, Sobieski z żołnierza przedzierzgnął się w polityka. W 1581 r. Stefan Batory nadał mu urząd chorążego nadwornego koronnego, zaś Zygmunt III Waza mianował go kasztelanem, a następnie wojewodą lubelskim. Zamoyski zabiegał ponadto dla Sobieskiego o marszałkostwo wielkie koronne, ale Zygmunt III nie spełnił jego życzeń i obdarzył tą godnością Zygmunta Myszkowskiego.

Marek Sobieski, ożeniony z Jadwigą Snopkowską, córką kasztelana przemyskiego, miał z nią sześcioro dzieci: syna Jakuba, w przyszłości kasztelana krakowskiego, i pięć córek. Z drugiej żony, Katarzyny z Tęczyńskich, którą pojął Sobieski w 1600 r., miał jeszcze syna Jana.

Sprawowane urzędy i korzystne związki małżeńskie oraz obrotność życiowa Sobieskiego sprawiły, że niewielką majętność odziedziczoną po ojcu znakomicie poszerzył, kładąc fundamenty pod magnacką fortunę swego rodu. Śledząc curriculum vitae Sobieskiego, dostrzegamy, że wypełniała je niestrudzona, a zarazem przemyślana i konsekwentna działalność zmierzająca do zdobycia coraz lepszej pozycji majątkowej. Sobieski dążył przede wszystkim do pomnożenia swego stanu posiadania ziemi i poddanych. W 1581 r. wraz z urzędem chorążego nadwornego koronnego otrzymał Sobieski w dzierżawę od Batorego dobra królewskie na Wołyniu, składające się z miasteczka Świniuchy i wsi: Bubnów, Korytnica, Kozłów, Pustomyty, Świniuchy, Wojnin i Zajęczyce. W kilkanaście lat później odstąpił Sobieski dożywocia na Świniuchach wojewodzie bełskiemu, Stanisławowi Włodkowi, za dożywocie na wsiach: Królewszczyzna i Słone Źródło w ziemi halickiej, aby niedługo potem stać się posiadaczem wszystkich dóbr: Świniuch, Królewszczyzny i Słonego Źródła. W 1581 r. sejm zatwierdził ostatecznie Sobieskiemu posiadanie dziedziczne Pilaszkowic. Proces powiększania majątku trwał nadal. Sobieski stał się jeszcze właścicielem Chorupnika, Wiśniowa, części Gorzkowa i Kosarzewa. W 1598 r. nabył od Czarnkowskich, spadkobierców Górków, olbrzymie dobra złoczowskie w województwie ruskim, obejmujące miasto Złoczów, zamek złoczowski i ponad 60 wsi. Posiadał ponadto „odziedziczoną po przodkach" kamienicę w Lublinie, którą w 1600 r. poddał gruntownej przebudowie. W skład posiadłości Sobieskiego wszedł także Błudów w Łuckiem, który otrzymała w posagu jego druga żona Katarzyna z Tęczyńskich.

Marek Sobieski nie gardził i dzierżawami. W 1596 r. wziął od hetmana Zamoyskiego w dzierżawę na 4 lata starostwo knyszyńskie ze wszystkimi folwarkami, młynami, stawami, pasiekami, daninami „i ze wszystkimi pożytkami, którekolwiek natenczas w tym starostwie są", za co miał płacić 12 500 zł rocznie.

Marek Sobieski zmarł 10 listopada 1605 r. Jego dzieci po raz pierwszy w rodzie Sobieskich były tymi, które nie musiały dorabiać się, wystarczało im utrzymać i umiejętnie korzystać z nagromadzonego bogactwa. Posługując się metaforą można powiedzieć, że urodziły się w czepku wyłożonym sporą fortuną i rozlicznymi koneksjami. Gdy Marek Sobieski z trudem wspinał się po drabinie politycznej i społecznej, one startowały już prawie z jej szczytów, co dawało im możliwość sięgania po znaczące urzędy w państwie. Marek Sobieski dał zatem rodowi „siłę przebicia". Wznoszenie się następowało odtąd z zawrotną szybkością. Syn Marka Sobieskiego — Jakub zmarł jako kasztelan krakowski, jako pierwszy świecki senator Rzeczypospolitej, natomiast wnuk Marka — Jan ozdobił swe skronie koroną królewską.

MARGINAŁKI ZNAD SEKWANY

Pałacyki i waganci

JEST w Paryżu dzielnica, którą tu nazywają „muzeum na wolnym powietrzu". Marais. Na północ od Sekwany, między Hôtel de Ville a Placem des Vosges. Po obu stronach ulicy des Francs Bourgeois. Można tam iść od Sekwany, oglądając po drodze Hôtel de Sens (jeden z dwu gotyckich pałacyków zachowanych w Paryżu, drugi to Hôtel Cluny, zbudowany na ruinach rzymskich term). Można iść od Placu Bastylii, na zachód. Ale najlepiej jubilerską ulicą Rivoli (tu stoi Hôtel Regina, gdzie w roku 1939/40 mieściły się polskie władze wojskowe), skręcając na lewo, w plątaninę starych uliczek, zaraz po minięciu Ratusza i kościoła St. Gervais.

Marais to kawał historii Francji. Kiedyś była tu modna dzielnica pałacyków. Już w XV, w XVI wieku. Królowie budowali tu wille swoim wybrankom serca. Hrabiowie i książęta zakładali podmiejskie rezydencje, bo blisko Luwru, bo zresztą taka moda. Dzielnica nie była zbyt bezpieczna. Sąsiednie ulice, zasiedlone przez buntowniczych mieszczan, z których każdy miał w domu jak nie halabardę to muszkiet, jak nie pistolet, to bodaj pikę. Blisko przedmieście św. Antoniego o dość dwuznacznej sławie, choć według praw cechowych oddane meblarzom (rezydują tu zresztą do dziś).

Budował zatem każdy z panów swoją rezydencję z wysokim murem od ulicy, z warownym ogrodem, ze strzelnicami w bocznych ścianach. Na wszelki wypadek. Niedaleko była Bastylia. Niby po to, żeby paryżan trzymać w ryzach, ale — wiadomo — królowie miewali humory. Umieli zamknąć i księcia. Jak nię w Bastylii, to w pobliskim Vincennes.

Chciałbym znaleźć się bodaj na kilka godzin w siedemnastowiecznych uliczkach dzielnicy Marais. Pałace, ogrody, karety. Strojni kawalerowie, konno i pieszo (między nimi — jakże by inaczej? — trzej muszkieterowie z panem d'Artagnan. Piękne panie w lektykach. Schadzki i pojedynki. Ba! trzeba by mieć u boku coś ostrego — bodaj scyzoryk — na tych barokowych chuliganów z „de" i „du" przed nazwiskiem!

Każda chwała tego świata przemija. *Praeterit gloria huius mundi.* Przyszedł kres i na Bastylię. A zaraz potem na dzielnicę Marais. Rewolucja zmiotła pałace (no, może nie tak dosłownie), poskracała o głowę ich mieszkańców. Potem zresztą wzięła się (żeby gilotyna nie zardzewiała) i za obywateli bez „de" i „du", ale to już inna historia.

Po kilkunastu latach wrócili Burboni, ale dzielnica Marais już się nie podźwignęła. Pałacyki z wolna niszczały. Wzięli się wreszcie za nie sprytni przedsiębiorcy. Wykupili. Przerobili. W niektórych urządzili mieszkania, ale w większości warsztaty rzemieślnicze. Do dziś zresztą Marais to dzielnica rzemieślników. Ocalało tylko kilka rezydencji. Jedna (budowana przez Henryka IV dla wybranki) bo umieszczono w niej Bibliotekę Historyczną Paryża. Dwie czy trzy (w tym Hôtel de Guise z gotycką bramą i barokowy Hôtel de Soubisse), bo połączono je razem i oddano archiwom. W innym jeszcze zespole rokokowych pałacyków pomieszczono Muzeum Historii Paryża: Musée Carnavalet — ale to temat sam w sobie.

Bardzo lubię chodzić uliczkami Marais. Oglądać stare pałacyki. I te, co się uchowały, i te, w których pozostał ledwie ślad dawnej świetności, i te wreszcie, co się teraz... budują. Bo na teren Marais znowu wkroczyli przedsiębiorcy budowlani. Wykupują od rzemieślników stare rudery i przerabiają na eleganckie rezydencje. Jak? Ano różnie. W środku z zasady nowocześnie, a z zewnątrz jak się da. Myślę, że u nas każdy konserwator zabytków złapałby się za głowę, widząc taką „restaurację", ale za to wielu jako tako sytuowanych obywateli chętnie by zamieszkało w tych nowych-starych pałacykach.

Niektóre z odnowionych „hoteli" są z zewnątrz nadal sobą. Inne rozmaicie. Jak też ta dzielnica będzie wyglądać za kilka lat? Licho ją wie. Z pewnością straci patynę, urok zaniedbanej staroświecczyzny. Ale bez tej renowacji pewnie by się i tak w końcu rozpadła.

Przedsiębiorcy wkroczyli też i na Plac des Vosges (zwany kiedyś Królewskim). Na piękny plac z parkiem w środku, z konnym pomnikiem Ludwika XIII, otoczony ni to pałacykami, ni to kamieniczkami z czerwonej cegły z elementami kamiennymi, w stylu holenderskiego baroku z arkadami coś jak w Zamościu. Plac des Vosges odnawia się z pietyzmem. Bo też domy zachowane są tu o wiele lepiej niż pałacyki w Marais. Niektóre już odzyskały dawną świetność z zewnątrz. A od środka? Wiadomo: nowoczesne rezydencje.

Łażę czasem po Marais bez celu. Gapię się. Błądzę. Szukam, czego nie zgubiłem. Kiedyś wracałem ku centrum Paryża, idąc w stronę zburzonych Hal i kościoła św. Eustachego (kapitalny przykład barokizowanego gotyku). Minąłem okropny budynek Centrum Sztuki Nowoczesnej im. G. Pompidou. Minąłem przymykając oczy, bo mi to przypomina mózg elektronowy albo wnętrze jakiejś ogromnej maszynowni. Ale tuż za „Beauborgiem" (tak to nazywają paryżanie, bo sterczy przy ulicy o tej nazwie) zobaczyłem coś, co skłoniło mnie do zatrzymania się.

Wyobraźcie sobie, czytelnicy „Katedry Notre Dame", „Żywych kamieni" czy też... „Historii żółtej ciżemki", że znaleźliście się na rynku średniowiecznego miasta w momencie, kiedy zjechali waganci, igrce, wiły, linoskoczki. Ja miałem takie wrażenie. W jednym kącie placu popisywał się połykacz ognia: obnażony do połowy, nasmarowany oliwą, z przepaską na długich czarnych włosach, łykał jakiś płyn, a potem dmuchał na zapalony patyk. Robiły się z tego chmury ognia. Huczały brawa i sypały się franki do stojącego na ziemi cylindra.

Dalej hipnotyzer, w czarnym trykocie, utleniony na siwo, w cylindrze. Usypiał ludzi. Chyba nawet naprawdę. Obok jakiś magik rwał łańcuchy i sznury, którymi dawał się dowolnie krępować. A z innych miejsc słychać było muzykę katarynek, dudnienie jakichś wschodnich bębenków. Brakowało tylko Cygana z uczonym misiem i linoskoczków.

Po placu kłębił się tłum gapiów. I na to warto było popatrzeć. Murzyni, Japonki, Meksykanie, turyści made in USA. Różne kolory skóry. Odmienne style ubiorów. Zachowania. Do tego grupy młodzieży prześcigającej się w oryginalności strojów i koafiury. Stateczni mieszczanie z rodzinami (dzień był świąteczny). Nie brakło pewnie i rzezimieszków.

Chodziłem wśród tłumu dobrą godzinę. Od grupy do grupy. Od magika do magika. Dziwne miasto ten Paryż. Że też akurat tu — pod tym obrzydliwym gmaszyskiem „Beaubourgu" — musiały się zagnieździć ludowe rozrywki rodem ze średniowiecza!

Błażej

100 TYTUŁÓW

Z OGÓLNEJ liczby, ok. 100 tytułów, które ukażą się w 1980 roku nakładem Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku, 60 przypada na beletrystykę, a 25 — na fachową literaturę morską. W tym ostatnim dziale przeważają podręczniki, poradniki i inne opracowania przeznaczone dla specjalistów określonych dziedzin lub dla studentów.

W beletrystyce zwracają przede wszystkim uwagę drugie książki młodych autorów, którzy debiutowali w latach 1978—1979 r. Należą do nich Marek Bieńkowski, Anna Czekanowicz, Stanisław Esden-Tempski, Anna Janko, Aleksander Jurewicz i Władysław Zawistowski. Jest to skutek i wyraz opieki, jaką Wydawnictwo Morskie postanowiło otoczyć młodych literatów Wybrzeża. Zjawisko jest o tyle jeszcze godne uwagi, że według opinii środowiska literackiego nie debiut, o który łatwiej, a właśnie wydanie drugiej książki stanowi dla młodych prozaików i poetów barierę najtrudniejszą do pokonania. Wśród książek znanych wybrzeżowych marynistów odnotujmy jeszcze kolejne wydanie „Krążownika spod Samosiery" Karola Olgierda Borchardta.

W serii „Światowa proza morska" ukażą się antologie prozy greckiej i NRD.

Od lat Wydawnictwo Morskie poświęca wiele uwagi naszym morskim dziejom. W tym dziale główną pozycją będzie „Flota Białego Orła". Jest to monografia naszej marynarki wojennej podczas II wojny światowej napisana z uwzględnieniem wyników najnowszych badań historycznych w kraju i za granicą. Książka ma walory pracy naukowej, ale charakterystyczna dla jej autora, Edmunda Kosiarza, forma narracji czyni ją przystępną także dla szerokiego kręgu czytelników. Serię popularno-naukowych syntez morskich dziejów świata reprezentuje tym razem praca angielskiego historyka C. R. Baxtera „Morskie imperium Holandii".

Dzieje bliższe, bo dotyczące współczesności, przypomną dwie wartościowe pozycje pamiętnikarskie, napisane przez wybitnych współtwórców dzisiejszego stanu naszej gospodarki morskiej: „Narodziny żeglugi" Juliana Rummla i „Ze wspomnień inżyniera budownictwa wodnego" Stanisława Hneckla.

Nie zabraknie także książek o żeglarstwie.

P. K.

ZE ŹRÓDEŁ ARCHIWALNYCH

Nieznany rozkaz

W POCZĄTKACH 1944 roku wciąż wzrastający ruch partyzancki, zwłaszcza jego lewicowy nurt, osiągnął swój punkt kulminacyjny. Na Lubelszczyznę przeszły przez linię Bugu, obsadzoną kordonem hitlerowskich oddziałów policyjnych ubezpieczających tzw. „Bandenaffangstellunglinie", liczne zgrupowania partyzantki radzieckiej. Obszar między Wisłą a Bugiem stał się terenem wzmożonych działań partyzanckich. Ustawiczne akcje ruchu oporu na obiekty wojskowe, posterunki żandarmerii, niemieckiej policji, władze i urzędy terenowe oraz poważne akcje zamachowe na liniach komunikacyjnych, stworzyły b. niebezpieczną sytuację dla niemieckich sił bezpieczeństwa.

Jak okupant oceniał wówczas tę sytuację, jak wielki żywił lęk i obawy przed ew. wybuchem zbrojnego powstania, świadczy zachowany rozkaz dowódcy SS i policji dystryktu lubelskiego z kwietnia 1944 roku, wzywający do przygotowań i pełnej mobilizacji sił w walce z ruchem oporu (odpis w zespole akt III Oddz. SS — policji konnej w zasobie Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie).

Lublin, dnia 27 kwietnia 1944 r.

ROZKAZ NR 10/44

Sytuacja bezpieczeństwa w ostatnich tygodniach stała się tak dalece napięta, że takiej jeszcze dotychczas nie notowano. Wszystkie oznaki na to wskazują, że wrogowie, bez względu na orientację, chcą doprowadzić do rozpoczęcia zbrojnego powstania. Może być tak, że powstanie zbiegnie się w czasie z inwazją na zachodzie. Chodzi teraz o to, by wszyscy komendanci i dowódcy jednostek oraz kierownicy posterunków i punktów oparcia podjęli wszelkie niezbędne środki tak, aby nie wywołać w żadnym miejscu niepokoju albo nastroju paniki.

Reichsführer SS w wytycznych na wypadek rozruchów powiedział: w sytuacji kiedy każdy poszczególny (żołnierz) nieziomnie stać będzie na swojej pozycji, każda próba tego rodzaju będzie skazana nie niepowodzenie. Od tej chwili dzień i noc należy żądać od każdego największego poczucia obowiązku w najpełniejszym zakresie. Cokolwiek nadejść może, każdy ma stanąć do ostatniego człowieka. Tak jak każdy walczący na froncie opanowuje najbardziej krytyczną sytuację, także i w tych zmaganiach wszystko zależy od zachowania zimnej krwi i bezwzględnej stanowczości ze strony każdego oficera i szeregowca.

Z tych względów rozkazuję już dzisiaj: od tej chwili dalsze odchodzenie do defensywy w przyszłości nie może mieć miejsca. Wróg musi być atakowany także wtedy, kiedy nasze własne oddziały nie zawsze występują w podwójnej, albo równej sile. Także mniejszymi siłami przeciwnik może być pobity, jeśli dowódcy i szeregowi będą ożywieni fanatyczną wolą zniszczenia. W ostatnim czasie zostały osiągnięte w tym względzie piękne rezultaty.

Dalej rozkazuję, by wszyscy oficerowie i dowódcy SS, podoficerowie i szeregowi przy odłożeniu wszystkich pozostałych zadań przystąpili natychmiast do intensywnego szkolenia w walce wręcz i w pojedynku. Do tego należy wciągnąć wszystkich do ostatniego człowieka. Nie może być odkomenderowanych i tzw. sił na wysokim szczeblu. Siły kancelaryjne, z b. małymi wyjątkami, również należą do stanów bojowych. Na dopływ uzupełnień w żadnym razie nie można liczyć. Sytuacja jest poważna, jednak wcale nie beznadziejna, jeśli w każdym wznieci się płomień gotowości do walki.

Być gotowym, znaczy wszystko!

(—) Sporrenberg
SS-Gruppenführer i gen. policji

(opr. i tłum. **Wojciech Zyśko**)

KRONIKA KULTURALNA

* Nie tylko sale filharmonii są dobrym miejscem dla koncertów muzyki symfonicznej. Pod koniec stycznia i z początkiem lutego ludzie tłumnie zgromadzeni w katedrze lubelskiej słuchali koncertów symfoniczno - oratoryjnych w wykonaniu najwybitniejszych solistów z NRD i chóru Uniwersytetu im. Karola Marksa z Lipska, a także orkiestry Państwowej Filharmonii z Lublina. W programie — lubelskie pra-wykonanie Bacha „Pasji według św. Jana". „To była prawda o nas samych, o bólu istnienia, o ciągłym, natarczywym dążeniu do doskonałości" — napisała Teresa Księska, nie bez racji, choć i nie bez egzaltacji, w „Kurierze Lubelskim" z 5 II br. W każdym razie pomysł, żeby lubliniacy słuchali Bacha, kantora lipskiego, właśnie w katedrze i w wykonaniu muzyków niemieckich, nie jest zły.

* Również studenckie Stowarzyszenie Jazzowe z Lublina organizuje koncerty nie tylko w standardowych salach. Zainicjowało mianowicie w lutym cyki recitali i mini - koncertów w wykonaniu znanych artystów, zapraszanych do Lublina. W Państwowym Szpitalu Klinicznym nr 4 wystąpił Maciej Zembaty, a kilka dni później John Porter, znany brytyjski muzyk i wokalista, leader grupy rock „Porter Band", który dla chorych i personelu szpitala śpiewał ballady i bluesy. Bardzo dobrze, iż koncerty tego rodzaju, organizowane i wykonywane całkiem społecznie, mają szansę kontynuacji.

* Przy Lubelskich Zakładach Graficznych im. Manifestu PKWN, które w grudniu ub. roku obchodziły swe 35-lecie, powstaje izba tradycji. Zgromadzono już wiele interesujących eksponatów z dziedziny sztuki drukarskiej i historii prasy. Są fotokopie pierwszych gazet drukowanych w wyzwolonej Polsce — „Rzeczpospolita", „Walka Młodych", „Zielony Sztandar", „Gazeta Lubelska", „Polska Zbrojna"... Są egzemplarze pięknych albumów, plakatów i folderów, reprezentujących technikę offsetową. Są wreszcie przykłady tzw. reprintów, podjętej niedawno przez LZGraf. techniki reprodukcji starych wydawnictw (choćby „Teoria sztuki drukarskiej' F. Ząbkowskiego z 1832 roku). Na razie wszystkie te eksponaty do obejrzenie w kąciku pamięci, zorganizowanym w biurowcu LZGraf. Oby kącik jak najszybciej przekształcił się w izbę.

* Muzeum Okręgowe w Białej Podlaskiej wystawia zbiory z lat 1975—79, rezultaty swej działalności jako placówki miasta nowowojewódzkiego. I ma się czym pochwalić. W dziale etnografii na szczególną uwagę zasługują obrazy Bazylego Albiczuka z Dąbrowicy Małej, malarza ludowego, który znany jest nie tylko na Podlasiu, ale również — bez przesady — w Europie. W zbiorach sztuki wybijają się obrazy polskich klasyków — Matejki, Norblina, Grottgera, Kossaków, zaś malarstwo współczesne reprezentują prace wybrane z dorobku plenerów organizowanych od pięciu lat w janowskiej stadninie koni. Interesujące są też eksponaty sztuki sakralnej z XVII i XVIII wieku, secesyjne lampy naftowe oraz monety ze skarbu odnalezionego w 1976 roku pod Terespolem. Wypada życzyć bialskiemu muzeum udanych zakupów w następnej pięciolatce.

* Lubelski kabaret „Czart", występujący w kawiarni „Czarcia Łapa", choć działa od dawna, jakoś nie chce nam się zestarzeć i zgnuśnieć. 2 lutego pokazał kolejną premierę — „Manekiny są bez winy". Spektakl uderza w rozmaite niezdrowe ambicyjki rodzące się na glebie prowincjonalnego myślenia o świecie. I doskonale, że uderza, albowiem rzeczywistość nie jest przedłużeniem wiochy (nawet wojewódzkiej!). Udany debiut na scenie kabaretowej „Czarta" zaliczył Krzysztof Sławomir Kaczmarek, wykonawca ballad, młody aktor, od września ub. roku występujący w Teatrze im. Osterwy.

* Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zamościu, otwarty trzy lata temu na Starówce, jest najładniejszą placówką kulturalną miasta. Zatrudnia najpiękniejsze i najelegantsze dziewczyny. Parzy najlepszą kawę i herbatę. Posiada zagraniczne magazyny motoryzacyjne i żurnale mody, które czytuje miejscowa elita, raczej starsza, z przedwojennej inteligencji. Księgarnia MPiK jest lepiej zaopatrzona niż „Domu Książki". O tym wszystkim napisano w wywiadzie z kierowniczką zamojskiego MPiK-u, Lucyną Stąsik. Gratulując dobrego samopoczucia pani kierowniczce, przeżywamy pewien niepokój o losy edukacji kulturalnej powojennych inteligentów zamojskich. Czyżby to oni zaludniali restaurację „Hetmańską"?

* Ktokolwiek wiedziałby coś nowego i krzepiącego o losach zabytkowej budowli tzw. starostwa w Łosicach (woj. bialskopodlaskie), proszony jest o skontaktowanie się z kimkolwiek, kto mógłby sprawić, żeby obiekt ów nie niszczał i nie rozpadał się w proch i piasek historii. Jak dotąd, choć wiele urzędów i ludzi zajmowało się tą sprawą, nikomu nie udało się nic wskórać. Proponujemy władzom konserwatorskim rozpocząć od zabezpieczenia budowli.

* Do 25 lutego można obejrzeć w galerii lubelskiego Biura Wystaw Artystycznych ekspozycję obrazów Piotra Kmicica, których główny motyw stanowi postać ludzka, ujęta z dużą ekspresją, nie pozbawioną wszak zadumy nad losem człowieka współczesnego. Autor jest absolwentem krakowskiej ASP. Obowiązki pedagoga w nałęczowskim Liceum Sztuk Plastycznych nie przeszkadzają mu w malarstwie własnym, któremu oddaje się często i z zapałem.

mp)

Telematyka zagraża prasie

W PARYŻU odbyła się niedawno konferencja zorganizowana przez Międzynarodowy Instytut Łączności i stowarzyszenie „Telequal". Jej temat: „Papier kontra teletext". Była to — jak pisze w nr. 376 z 1979 r. tygodnik LE POINT — pierwsza runda walki między Goliatem - prasą a Dawidem - małym ekranem. O co chodzi w tym konflikcie? Poniżej — wyjaśnienia LE POINT.

„Stawiliśmy czoła naporowi telewizji, wytrzymaliśmy atak Syndykatu Książki, co najmniej dwukrotnie zmodernizowaliśmy wszystkie nasze systemy oddziaływania — mówił na konferencji szef jednego z największych dzienników regionalnych. — Mieliśmy nadzieję, że wreszcie będziemy mogli odetchnąć. I oto znów stajemy oko w oko z diabelskim wymysłem, jakim jest teletext i system Antiope (system jednokierunkowego przekazywania informacji z ośrodka centralnego do odbiorców). A wszystko to podane jak na dłoni przez potężne mocarstwo PTT (Poczta — Telegraf — Telefon)... Tym razem nie damy się. Jeżeli zajdzie potrzeba, przedstawimy ten konflikt w Pałacu Elizejskim. Znamy do niego drogę tak samo dobrze jak funkcjonariusze".

Co wzburzyło do tego stopnia świat prasy i „Telecomu"? Zacznijmy od teletextu. Oto skromny aparat o całkiem niewinnym wyglądzie: mały ekran telewizyjny i klawiatura o dziesięciu cyfrach. Naciska się te klawisze (podobnie jak wybiera się numer telefonu) i na ekranie ukazuje się — zależnie od życzenia — komunikat o pogodzie, komunikat o ostatnich notowaniach na giełdzie, wynik gry liczbowej czy ciągnienia loterii, spis mieszkań do wynajęcia w żądanej dzielnicy (wraz z cenami), krótka recenzja filmów wyświetlanych w najbliższej okolicy, wykaz wolnych miejsc na koncert w operze, a nawet — jeżeli urządzenie zostało odpowiednio zaprogramowane — data urodzin waszego szefa. Słowem, cudowny aparacik, cacko wymyślone przez sprytnych nowatorów.

Kiedy szef DGT (Generalna Dyrekcja Telekomunikacji) z błogosławieństwem swego ministra zapowiedział, że w ciągu półtora roku, poczynając od końca 1980 r., przeprowadzony zostanie eksperyment, który obejmie 2500 rodzin na paryskim przedmieściu Velizy, nikt nie wziął tej sprawy zbyt serio: wiadomo, inżynierowie się bawią, bo taka jest ich natura, to po prostu duże dzieci. Ale wkrótce ta sama dyrekcja „Telecom" zapowiedziała, że rozpocznie zastępowanie książki telefonicznej urządzeniem systemu teletext, które będzie dostarczane bezpłatnie. Zamiast rocznego spisu telefonów — mały ekran i dziesięciocyfrowa klawiatura. Tym razem zainteresowanie było większe: „Te aparaty będą bezpłatne? — pytano. — Od kiedy to administracja robi nam prezenty?".

DGT odpowiada uprzejmie: po pierwsze, wydanie rocznego spisu telefonów kosztuje bardzo drogo, więc chcemy się tego pozbyć raz na zawsze. Poza tym wywołanie informacji na ekran będzie się odbywać na zasadzie połączenia telefonicznego, rejestrowanego przez licznik. Rekapitulując: nie trzeba będzie opłacać druku, a połączenia będą przynosić zysk. Ten mały aparacik, który na początek rozdany zostanie szczęśliwym mieszkańcom Ille-et-Vilaine, odbierze pieniążki drukarniom, da je natomiast konstruktorom i DGT.

Chwila refleksji i nasuwa się uwaga: nikt nie posługuje się spisem telefonów przez 24 godziny na dobę. Powiedzmy, 5 minut i to nie co dzień. Do czego ma służyć mały ekran przez pozostałe 23 godziny i 55 minut? I znów uprzejma odpowiedź inżynierów: ekran może służyć do bardzo wielu rzeczy, może dostarczać najróżniejszych informacji. Można go np. wykorzystać do drobnych ogłoszeń. I tu zaczynają się emocje, które ogarniają stopniowo całą prasę francuską. Dyrektorzy pism rozumują szybko i bezbłędnie: jeżeli stracą część drobnych ogłoszeń, trzeba będzie zrewidować do gruntu całą strukturę finansową prasy.

Drobne ogłoszenia są tylko początkiem. Znaczna część prasy świadczy swym czytelnikom usługi. Jeśli te usługi z całym dobrodziejstwem inwentarza przeniosą się na ów piekielny mały ekran, to co pozostanie dla dzienników? I tu rysuje się poważny problem: czyżby słowo pisane miało w przyszłości stać się eksponatem muzealnym? Tak więc konflikt, który się dopiero zaczyna, kryje w sobie, jak zawsze, przemieszane dokładnie interesy finansowe oraz imperatywy kulturalne. Trzeba będzie brać pod uwagę i jedno i drugie.

Tu nasuwają się dalsze pytania: czy ten system, wzięty żywcem z science - fiction, będzie naprawdę funkcjonował? Czy nie jest to przypadkiem jakiś „papierowy tygrys"? A jeśli nie będzie zbytu na te dziwaczne zabaweczki? Odpowiadają nam na to, że system teletext będzie funkcjonował, będzie stopniowo zyskiwał coraz większy popyt już chociażby z jednego tylko względu: kontaktów między bankami a ich klientelą. W praktyce wszystkie banki są już skomputeryzowane, jednakże liczne operacje wymagają jeszcze obecności klienta, który musi „odstać swoje" przed okienkiem. Karta kredytowa i mały ekran wyeliminują tę niewygodę: stan konta, odpowiednio zakodowany dla utrzymania tajemnicy będzie przekazywany jego właścicielowi wprost na ekran. A więc banki, podobnie jak DGT, będą niewątpliwie popierać system teletext.

Można by także podłączyć ten system do normalnego odbiornika telewizyjnego w każdym domu. Wymagało by to jednak zainstalowania odpowiedniej przystawki. A ponadto, jeżeli domowy telewizor służyłby do otrzymywania informacji, to moglibyśmy nie dowiedzieć się nigdy, czy porucznik Colombo wykrył sprawcę zbrodni.

Wszystko wydaje się świadczyć, że systemy, które wkrótce wejdą w stadium eksperymentowania, w ciągu najbliższego dziesięciolecia zmienią stopniowo nasze obyczaje domowe, nasze przyzwyczajenia — a także strukturę finansową prasy. Staruszka telewizja będzie się musiała dobrze zastanowić nad strukturą swoich programów. Zupełnie możliwe, że nie utrzyma ona monopolu na codzienną, solenną porcją wieczornych informacji.

Czy musimy lansować ten „wieloczynnościowy" mały ekran, który znów zmieni nasz styl życia, czy jesteśmy skazani na nieustanne przemiany? Odpowiedź kierownictwa DGT na to pytanie brzmiałaby najprawdopodobniej następująco: nie żyjemy w zamkniętym świecie. Pojawienie się tego telematycznego żelastwa na użytek domowy nastąpi równolegle w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, RFN, Japonii i Francji. Po raz pierwszy od czasu wojny wszystkie kraje startują równocześnie. W tej sprawie w niczym nie ustępujemy Stanom Zjednoczonym i Japonii, a nawet technicznie jesteśmy nieco zaawansowani w stosunku do USA w pracach nad sprzężeniem: telefon — mały ekran. Rynek istnieje wszędzie i będzie należał do tych, którzy okażą się najwydajniejsi, najszybsi i potrafią zaspokoić popyt. DGT i TDF (Telediffusion de France) zainstalowały już swój przyczółek w Nowym Jorku i rozpoczęły sondowanie rynku amerykańskiego. Możliwości jego penetrowania są nie do pogardzenia.

(ap)

SPROSTOWANIE

W części nakładu poprzedniego numeru „Kameny" w ankiecie pt. „Drogowskazy" przy wypowiedzi prof. Andrzeja Waksmundzkiego omyłkowo wydrukowano (z winy fotoreportera) zdjęcie prof. Stanisława Wołoszyna. Obu zainteresowanych i czytelników przepraszamy.

RED.

ekran i widz

Paradokument czy parafabuła?

NAJNOWSZY film Krzysztofa Wojciechowskiego „Róg Brzeskiej i Capri" nazwał ktoś „paradokumentem" ukazującym zanikający już coraz bardziej folklor warszawskiej Pragi, świat odchodzący w zapomnienie: wszystko to przedstawił reżyser z ogromnym wyczuciem i znajomością prezentowanego środowiska oraz w sposób prawdziwie poetycki. Nie wiem, czy takie stwierdzenie w pełni satysfakcjonuje reżysera, on sam określa swoje ostatnie poczynania terminem „kina organicznego".

Cóż to jest owe „kino organiczne"? W wypowiedzi dla „Filmowego Serwisu Prasowego" Krzysztof Wojciechowski wyjaśniał: *„Róg Brzeskiej i Capri" jest natomiast filmem* (w odróżnieniu od poprzednich filmów tego reżysera — przyp. M. D.) *w całości inscenizowanym. (...) Inscenizacja polegała na umieszczeniu bohaterów* (aktorów niezawodowych — przyp. M. D.) *w sytuacjach, które im się naprawdę zdarzyły, lub mogłyby się zdarzyć. Każdy z bohaterów mojego filmu otrzymywał zadania w ramach swojego emploi. Aby uprawdopodobnić sytuację i zachowania postaci, starałem się moich aktorów „otwierać", tzn. wyzwolić w nich maksymalną swobodę, naturalność, szczerość, pozbawić ich zahamowań, które stwarza kamera i obecność obcych osób. (...) Dlatego też staram się stwarzać sytuacje, jakie tylko im mogą się zdarzyć. Nazywam to „kinem organicznym". Chodzi mi o to, by takie kino nobilitowało tzw. zwykłego człowieka. Zdaje nam się czasem, że nasze prywatne życie, obfitujące w wiele interesujących zdarzeń, jest nieciekawe i nie ma nic wspólnego ze sztuką, a tymczasem jest to właśnie sztuka, zawierająca mnóstwo bardzo ciekawych elementów".*

Autentyczny Benek-Kwiaciarz, znany z opowiadań Marka Nowakowskiego, jest w „Rogu Brzeskiej i Capri" właśnie Benkiem-Kwiaciarzem; gra „samą siebie" niezwykła kolekcjonerka laleczek Janina Kondracka; Jan Nowak — ukazany niedawno tak interesująco w filmie dokumentalnym Franciszka Trzeciaka — raczy nas porcją swojej kapitalnej filozofii i mądrości życiowej; Januariusz Gościmiński, kolekcjoner antyków, to podobno autentyczny hrabia, który mieszkając przez wiele lat na Pradze, wrósł w sposób swoisty w jej folklor, i na tej zasadzie występuje wielu innych ludzi...

Stara Praga odchodzi w przeszłość. Domy, w których kłębiło się dobre i złe, uczciwe i mniej uczciwe życie — ale zawsze pełne temperamentu, fantazji, swoistej romantyki — domy te idą jeden po drugim do rozbiórki. Giną ulice, na których się wszyscy znali od dziecka, gdzie się spotykano podczas wieczornych spacerów, podrywano dziewczyny i gdzie się bito po mordzie w bramach kamienic. A ludzie tutaj mieszkający, związani — wydawałoby się — raz na zawsze tutejszym obyczajem, niepisanym, ale dokładnie przestrzeganym, kodeksem honorowym? Ludzie muszą odejść do nowych bloków. Do owej bezimiennej „kamiennej pustyni", doskonale zunifikowanej, rozciągającej się gdzieś daleko, na peryferiach miasta. Jeszcze porozwoził ich po różnych osiedlach swoim konnym wozem Jan Nowak, jeszcze strzeli im z bata na dowidzenia... A potem zasiądą wśród nowych mebli, przed nowymi telewizorami. Gdzieś w wieżowcach, przy jakiejś ulicy Capri, która nigdy już nie przetnie ulicy Brzeskiej...

Taka jest mniej więcej treść najnowszego filmu Krzysztofa Wojciechowskiego. Wprowadzając ubogą i raczej prymitywną — w założeniu — fabułę, dostosowaną do możliwości swoich aktorów znalezionych na ulicy Brzeskiej, rekompensuje ją Wojciechowski w znacznej mierze bystrą obserwacją psychologiczną i obyczajową, pięknymi zdjęciami i nastrojowością. Oto jego „kino organiczne".

Przyznam, że śledząc fragmentami z dużym zainteresowaniem „Róg Brzeskiej i Capri", w całości pozostałem jednak chłodny wobec tego filmu. W swych pierwszych filmach, przede wszystkim w „Kochajmy się", Wojciechowski wykazał wielką zręczność w ukazywaniu prawdy o ludziach mieszkających na wsi, przy zastosowaniu metody swoistego collage'u, polegającej na *mieszaniu wydarzeń autentycznych* — jak sam o tym opowiadał — *filmowanych często ukrytą kamerą, przy zastosowaniu środków filmu dokumentalnego — ze scenami inscenizowanymi.* Obserwował w tych filmach autentycznych ludzi, „lepił" z podpatrzonych umiejętnie scen z ich życia pewną logiczną całość fabularną, uzupełnianą, gdzie to było konieczne, scenami zagranymi przez tych samych ludzi już na zasadzie tzw. „naturszczyków". W ten sposób powstawał rodzaj fabularyzowanego dokumentu: bardzo specyficzny, właściwy dla osobowości twórczej Wojciechowskiego — „paradokument".

W „Rogu Brzeskiej i Capri" przeciwnie: reżyser, założywszy sobie pewien określony wątek fabularny, postanowił wtłoczyć weń autentycznych ludzi, którzy nigdy z aktorstwem nie mieli nic wspólnego, każąc im „grać" samych siebie. Niestety, dało to efekt tylko połowiczny, para-fabularny. Jakie będą dalsze losy „kina organicznego" postulowanego przez Wojciechowskiego — Bóg raczy wiedzieć.

M. D.

POCZTA literacka

Jarosław G. Lublin.
W białym pokoju
w czarnym garniturze
z decyzją
usłyszenia całej czarnej prawdy

Proroczo zabrzmiała ta fraza: prawda będzie, niestety, czarna. Wątpliwości nie ma żadnych: Pachnąca gałąź nenufaru sąsiaduje z wyrzutem: „Tyle razy czekałem pod zmówioną dzwonnicą", gdy od wieków wiadomo, że zmówić można pacierz albo buty „na zmowę". Tylko, że buty zrobione „na zmowę" zwykle imponują solidną robotą, a wiersze Pana — banałem. Są to wiersze o miłości, dziewczynie, oczekiwaniu, żalu i samotności; gdybyż choć odrobię prostoty dać tym wyrzekaniom, bez silenia się na posępne głębiny! Trzeba to wszystko odrzucić i zacząć zupełnie od nowa. Po prostu szukać samego siebie.

Krzysztof R. Wabrzeźno. Pełną garścią podpisuję się pod programem życiowym z wiersza „Manifest". „Budować życie, myśleć przyszłością. Cieszyć się słońcem, radować wiosną. Walczyć ze złem, wywyższać dobro. Szanować ludzi i żyć miłością". Na tej monumentalnej wizji, godnej tytanów, widzę tylko jedną rysę — pisanie wierszy.

Borgia, Henryk Wiesław P. Lublin. Marihuana swoją drogą, gramatyka swoją. [...] „kiedy z willi Hurona pozdrawiam indiańskim dorzeczem słów, ostatnią nimfę, cię pozdrawiam z progu katedry...". Pozdrawiam Pana nie po indiańsku czy z progu katedry, ale zwyczajnym staropolskim: Do widzenia.

Ryszard B. Lublin. „...otucho duszy mej /przybądź do mnie...". Coraz mniej mamy autorów, których utwory dyskwalifikują się w całości pierwszą lepszą frazą. Radzę głęboko przemyśleć cytat z Pana wiersza: „słowo szarpie za krtań / powiedz co mówi ci serce". Tego nie powstydziłby się nawet Broniewski.

J. W. Chełm. „Banały /Słowa/ Puste jak pustka". Szkoda, że w porę nie odniósł Pan tego fragmentu do własnej twórczości, otrzymałby Pan trafną autoocenę.

Jerzy L. Lublin. Myśli znacznie celniejsze od fraszek — rozgadanych i „letnich". Godne opublikowania i to w osobnej ramce wydaje się spostrzeżenie: „Dobry goniec traktuje swą pracę jako posłannictwo". Wprawiło mnie to w dłuższą zadumę, a gońców — obecnych i byłych, zapewne podbudowało moralnie. Kariera gońca, zaczęta pod Maratonem i kontynuowana maratonem olimpijskim, do dziś owocuje błyskotliwymi awansami. Znam świetnych dziennikarzy, którzy zaczynali właśnie od tego rodzaju posłannictwa. Znam damy, które swoje pierwsze kroki na śliskiej posadzce umizgów zaczynały od ślinienia znaczków pocztowych. Historia zna również kilka efektownych karier politycznych, których pradzieje sięgają misji w rodzaju: „Natychmiast przynieść mi głowę tego faceta!". A więc, gońcy, głowa do góry! Wszystko przed wami! A przed Panem — wiele jeszcze przygód w trakcie bicia się z myślami.

A. F. Warszawa. Bez żartów. Jak można rozebrać dziewczynę, a potem, ciuch po ciuchu, opisywać co się widziało! Fe! I to przy pomocy wiersza, z rymem i zwrotkami. Co na to powiedział by Wieszcz, którego wzrok wbiegł niegdyś razem z mrówkami tam, gdzie nawet wzrok samej właścicielki-Telimeny nie sięgał. Wieszcz poświęcił wbiegnięciu mrówek kilkadziesiąt wersów, lecz zrobił to tak, że nigdy się nie dowiemy, czy Telimena ubierała się w Peweksie, czy też sama szyła sobie ciuchy a la „Burda".

Krzysztof Witold N. Lublin.
Zbliżyłem usta do piersi Twych
Nie miały ciepła już.
Zabił Pan dziewczynę? Rany boskie!

Urszula T. Biłgoraj. W wierszach i prozie poetyckiej raz po raz odnajduję elementy autentycznej przygody poetyckiej, trzeba tylko jeszcze pozbyć się rozbijających wrażenie i całą przygodę martwych wstawek, banałów, zatrzymania dobrze spietrzonych obrazów na czymś nijakim. Przykładem wiersz „Jak głośno". Tę niedobrą funkcję słownej waty spełnia tu fragment: „nałożone tłuste pomady/ na kamienie". Ponadto kierunek obrazowania polegający na „umieraniu na kolcach kaktusów" lub „wieszaniu niewinnych na kostkach lodu" nie wydaje mi się kierunkiem godnym zaufania.

Władysław Z. Gdańsk. Wcale nie o utrapienie dla redaktora idzie w całym tym dialogu czytelniczym w „Poczcie literackiej", tylko o możliwie trafne wychwytywanie dobrych tekstów oraz o pewną działalność „misyjną" wśród początkujących autorów, którzy najpierw na dwóch stronach usprawiedliwiają się, że ośmielili się zakłócić bezcenny czas Pana Redaktora, a dopiero potem mówią o twórczości. Wracając do sonetów — forma to tak wyszlifowana, że dziś trzeba albo wielkiej odwagi, albo nieznajomości rzeczy, aby porwać się na sonet z zachowaniem klasycznych jego reguł. Pańskie zmagania z sonetem wydają się dość udane. Odkładam Sonet XIV i chyba pójdzie wcześniej niż w miesiącu, o którym mówi.

Marian Z. Lublin, Krzysztof O. Łódź, Jakub A. Lublin, Kazimierz J. Furman Lublin, Celina Ch. Lublin, Janina O. Warszawa — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA
(nr 4)

Poziomo: 8. wybitny polski filozof i historyk filozofii, autor „Historii Filozofii", 9. stowarzyszenie lub jego lokal, 10. umiera w „Peer Gyncie", 11. rozgorzał z niej płomień, 13. szlachecki dom, 14. projekt, 16. nie-zawodowiec, 17. polski geograf i geofizyk, badacz Antarktyki i Spitsbergenu, 20. przygotowanie roli do siewu, 21. zapis w testamencie, 23. odmiana geometrycznej sztuki abstrakcyjnej wywołująca iluzję ruchu, 26. obiekt „Psa ogrodnika", 27. polski poeta XIX wieku, który właściwie nazywał się Kondratowicz, 29. miesiąc, 31. carski parlament, 34. Jagiellonka, 35. przenoszą go pszczoły, 36. zastępuje kołdrę, 37. układ, 38. Joseph Conrad.

Pionowo: 1. autor „Sagi rodu Forsythów", 2. król Troi, 3. narzędzie francuskiego kata, 4. prostokąt o równych bokach, 5. górski kwiatek, 6. daszek nad kuchnią, 7. państwo na wyspie, 12. miasto, w którym w 1922 roku podpisano traktat o stosunkach dyplomatycznych między ZSRR i Niemcami, 15. przebiegłe zwierzę, 18. Ignacy Witkiewicz, 19. tworzy jednostkę administracyjną wspólnie ze Szczawnicą, 22. Prus, 24. cieplejsza od kołdry, 25. wojskowe obuwie, 28. dawniej był potrzebny w wierszu, 30. miasto w Anglii z uniwersytetem i torem wyścigów konnych, 32. pierwiastek promieniotwórczy, 33. papiery urzędowe.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 2

Poziomo: Marcin, osika, oczko, Siennicki, płacz, bomba, czekolada, twarz, tryb, Stern, Nora, ring, Znak, Aida, igras, buta, osoba, kosztorys, Kongo, Troki, Gomulicki, Antek, cnota, brzask.

Pionowo: komputer, sztaba, moszcz, Centkiewicz, skiba, kormoran, ucha, skarb, Lenartowicz, donos, Rugia, trzos, siano, Natanson, Krasicki, bekon, Ostiak, Oporto, kogut, suma.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 2 nagrody książkowe otrzymują: Włodzimierz Kalenik, 21-300 Radzyń Podlaski, ul. Warszawska 64; Eugenia Bożyk, 20-218 Lublin, ul. Hutnicza 28/3; Zofia Tchórzewska, 20-217 Lublin, ul. Gospodarcza 2/19; Bogdan Bieńkowski 20-352 Lublin, ul. Droga Męczenników Majdanka 13/1.

Listy do kameny

UWAGI

Z każdym miesiącem redagowane przez Was czasopismo staje się coraz ciekawsze. Zwłaszcza w numerze z 20 stycznia jest wiele ciekawych materiałów do czytania. Na szczególną uwagę zasługuje artykuł Bronisława Seniuka pt. „Dawno — niedawno". Takich artykułów, ciekawych i na poziomie, proszę zamieszczać więcej. Z zainteresowaniem przeczytałem poemat Henryka Makarskiego „Wielki dramat niewielkiego poety". Chociaż można wysunąć pod jego adresem wiele uwag, ale ogólnie podoba mi się prosta i rzeczowa krytyka współczesnych Polaków. Szczególnie piękne pod względem artystycznym i filozoficznym są wiersze Stiepana Szczipaczowa, w przekładzie nieodżałowanego Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, którego osobiście znałem i szanowałem i do dziś odnoszę się do Jego twórczości z wielkim szacunkiem. Chciałem kilka słów krytycznych wysunąć pod adresem Kazimierza Niechody. Nie pierwszy raz umieszczacie jego opowiadania stylizowane na gwarę ukraińską czy białoruską. I właśnie o to chodzi, żeby autor zdecydował się pisać albo pod gwarę ukraińską, albo białoruską. W jego ostatnim opowiadaniu pt. „Tęsknota" mieszają się nie tylko elementy tych dwóch spokrewnionych ze sobą gwar, ale także słowa rosyjskie, jak np. rubaszka, swadźba. Na Podlasiu, gdzie ludność mówi jeszcze gwarą białoruską (północna część) i ukraińską (południowa część), słowa te nie są w użyciu. Białorusini mówią „kaszula" lub „saroczka" i „wiesiele", a Ukraińcy „soroczka" i „wesille". Ponadto bardzo mnie razi używanie w opowiadaniu nieprzystojnych słów jak: zasraniec, przydupiec. Również do samej konstrukcji opowiadania mam pewne zarzuty. Składa się ono z dwóch niespójnych części: z osobistego wspomnienia autora i z makabrycznego opowiadania organisty. Niemniej takie opowiadania czytam z dużym zainteresowaniem. Na zakończenie swoich uwag chcę powiedzieć, że również z wielkim zainteresowaniem czytam relacje z codziennego życia, pisane w rubryce „Z notatnika".

Jan Ignaciuk
Lublin

WOKÓŁ FRASZEK

Tym razem zabawię się w mentora i napiszę kilka uwag na temat fraszek zamieszczonych w n-rze 2 „Kameny" z dnia 20.1.1980 r. Chciałem się jednak zastrzec, iż nie przemawia przeze mnie zawiść czy niechęć, ponieważ dwóch z drukowanych autorów znam osobiście i mogę nawet powiedzieć, iż się przyjaźnimy. Chodzi o B. Wieczorka z Gdyni i J. Leszczyńskiego z Krakowa. Zresztą moje uwagi chcę wypowiedzieć raczej w formie pytań, niż autorytatywnych sądów. Spotykam się dość często w czasopismach z fraszkami, które do fraszek dostały się raczej przypadkowo, ponieważ przypominają bardziej rebus czy logogryf z rozrywek umysłowych. Przykłady: B. Wieczorek — Dawniej do kina/Dzisiaj na „klina"; J. Witkowski — Nawet na dnie/Brzegi rwie; J. Leszczyński — Dwutorowy/Pociąg pieciowy. Celowo pominąłem tytuły. Co wynika z treści tych fraszek po odjęciu tytułu? Nic. Treść „fraszek" staje się zrozumiała dopiero po udzieleniu „wyjaśnień" przez tytuł. Ale wtedy przypomina raczej słownik wyrazów obcych lub etymologiczny. Z jednej strony słownika wyraz, którego sensu szukamy, z drugiej objaśnienie tego wyrazu. Innymi słowy — jest to rodzaj quasi - definicji, definicji na opak (bo usiłuje być śmiesznej czy rebusu słownego. Czy można ten rodzaj zabawy nazwać — fraszką? To pytanie pozostawiam bez odpowiedzi. Fraszka w zasadzie zawsze była i jest zabawą w słowa, z tym, że musi to być zabawa sensowna, kiedy sama treść mówi za siebie. „Podpieranie" się wyjaśnieniami zawartymi w tytule psuje przyjemność lektury. A przecież jedną z „cegiełek" budowy fraszki jest wdzięk, czyli rodzaj zadowolenia, jaki odczuwamy przy lekturze. Nieporozumień wokół fraszki narosło tyle, iż w tym chaosie trudno już rozpoznać, co jest fraszką, a co nią nie jest. Jeśli chodzi o fraszki J. Leszczyńskiego (dyskutowałem z nim na ten temat wiele razy), to bazują one na jednym jedynym „tricku" technicznym — wyzyskiwaniu wieloznaczności słów. Wszystkie oparte są właśnie na tropieniu wieloznacznych sensów słowa. To już manieryzm albo zupełny brak orientacji, czym jest fraszka. Danuta Butler („Polski dowcip językowy" PWN 1968) przytacza dziesiątki sposobów wyzyskiwania słownego dowcipu. Ograniczanie się tylko do jednego zabiegu doprowadza do monotonii i nudy, chociaż niekiedy sprawia wrażenie intelektualnej rozrywki (jak każda krzyżówka).

Fryderyk Podolecki
Kraków

ZAUWAŻONO

W związku z notatką w Waszym piśmie o nieścisłym opisie w wydrukowanej przez KAW pocztówce z Zamościa, przedstawiającej kino „Stylowy", uprzejmie informujemy, że błąd ten został już zauważony przez Redakcję i dokonano poprawki w produkcji następnych nakładów tego tematu.

Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa, ul. Wilcza 46

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stepień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 28 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW - w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Nr indeksu 36231

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

FRASZKI

Fryderyk Podolecki

Zaduma

Grzeszymy!... Po latach odzywa się echem
W jednych — żal za grzechy,
w drugich — żal za grzechem.

Bogusław Wieczorek

Rada

Będąc na pierwszym planie
Dbaj o jego wykonanie.

Feliks Rajczak

Wyznanie instynktowne

Żyję poza sektą,
Więc jestem insektem?

Wyjście

Wyjść poza układ społeczny:
Zamieszkać w mieście stołecznym.

Jerzy Leszczyński

Dwie strony uczuć

Miłość — to jedna strona —
Nienawiść — druga strona.
Pierwsza z nich jest ślepa,
Druga — zaślepiona.

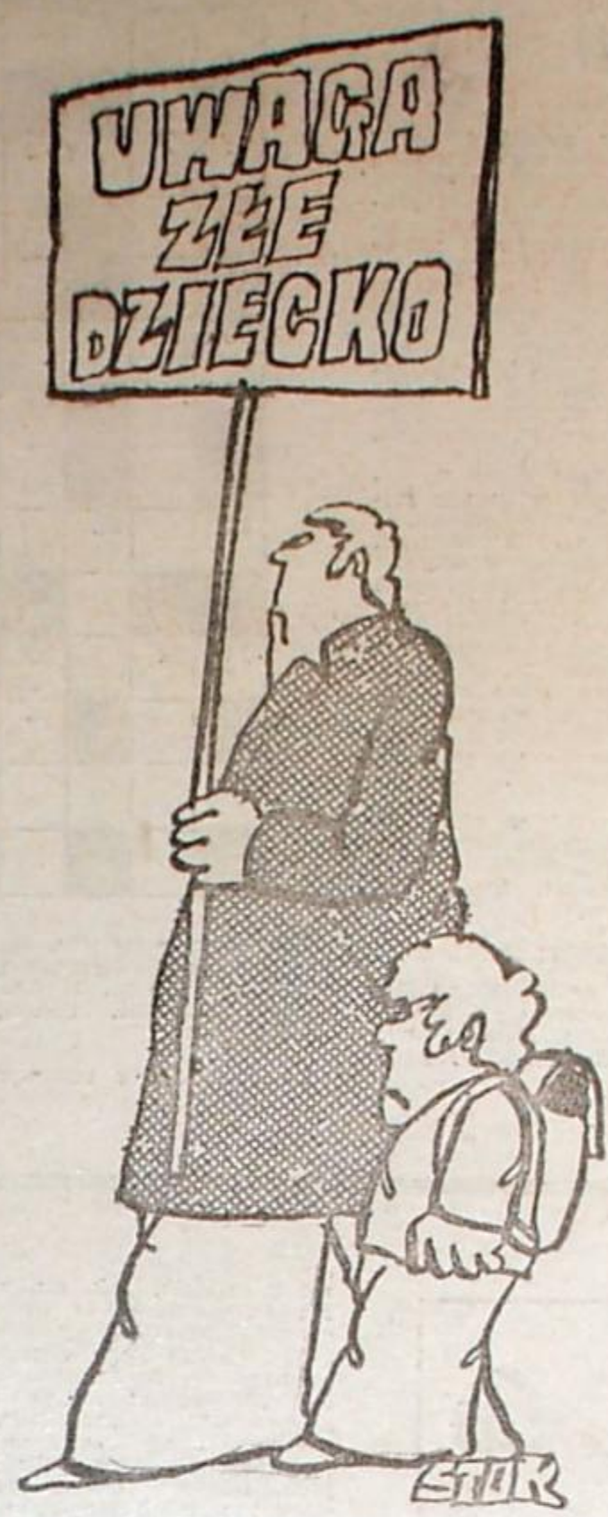

Rys. A. Stok

Czesław Kuriata

Dwie kultury

Dwie kultury istnieją w codziennym życiu —
Fizyczna na wierzchu, duchowa w ukryciu.
Fizyczną mamy pod ręką, gdy nudno,
Do duchowej dogrzebać się trudno;
Ukrywamy ją niczym skarb głęboko,
By nie zhańbiło ją wścibskie oko.
Obie kultury kłócą się od wieków,
Która z nich mocniej siedzi w człowieku.
Choć obie miały kiedyś wspólną nić —
Już od dawna nie mogą w zgodzie żyć,
I wciąż dialog wiodą o każdej godzinie,
Która z nich nigdy w człowieku nie ginie.
Gdy tak się obie kłóciły kultury,
Która mocniejsza i taktu więcej w której,
Człowiek — co miały w nim siedlisko obie —
Dawno je pochował we wspólnym, pięknym
grobie

Robert Karpacz

ODPRYSKI

Na początku było słowo, na końcu przekleństwo.

◆

Niejeden przeszedł przez życie, zacierając za sobą ślady.

◆

Olejem z głowy nie posmarujesz!

◆

Ludzie uzdolnieni muszą nieraz ustąpić ludziom zdolnym do wszystkiego.

Władysław Katarzyński

Klaps!

W pewnej wiosce w dzień bezchmurny oraz parny
ktoś zapragnął kręcić obraz fabularny.
Historyczna rzecz się miała tam rozgrywać,
Więc realizm, czy też jak to się nazywa.
Zgromadzono wszystkie szkapy pociągowe,
Na sztorc kosy postawiono,
jednym słowem
pan reżyser nie mógł znaleźć lepszej wioski
żeby kręcić film z kampanii kościuszkowskiej!

Było ciepło, było miło, grzało słońce
a zabawy tam bywają też gorące...
— Naprzód, chłopcy — rzekł reżyser — rośnie gaża
i nie musiał już dwa razy się powtarzać.
Bo wspomnienia jeszcze piekły, nawet nadto
po „bonanzie", co odbyła się ostatnio,
więc ruszono i chwycono się za bary
jednym słowem — tak jak trzeba był realizm!

Tak ambicja gnała naprzód naszych chłopców,
że w zapale rozproszyli i filmowców,
I to wszystko.
Jaki moral? Ano ten ci:
Patrz z kim kręcisz. Bo się możesz nie wykręcić!

Marian Karczmarczyk

DROBNYM SRUTEM

Nawet, gdy nie jesteś sobą, nie myśl, że już uciekłeś od siebie.

Ileż nieraz trzeba zadać sobie trudu, by nie mieć trudności!

Ab owo! — krzyczał pijany facet, chcąc wytłumaczyć fakt, że idzie na czworakach.

I koła wpływowe ulegają poślizgom.

A może czasem i pies marzy, by mieć rasowego pana?

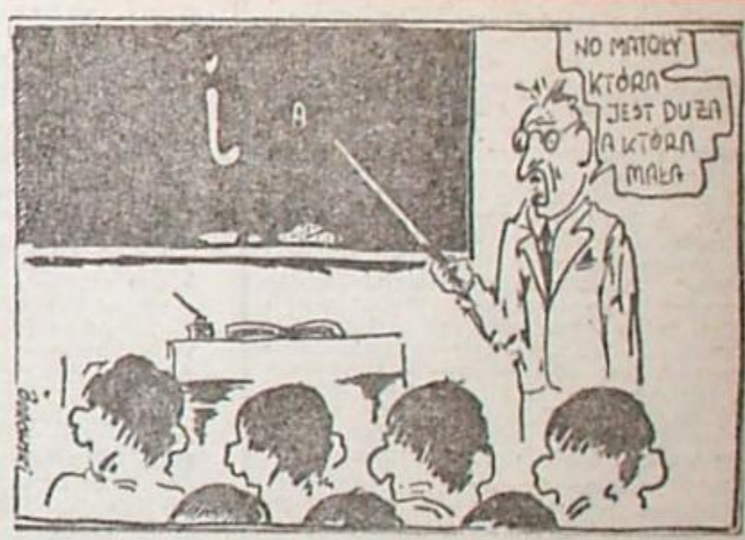

Rys. K. Borowski

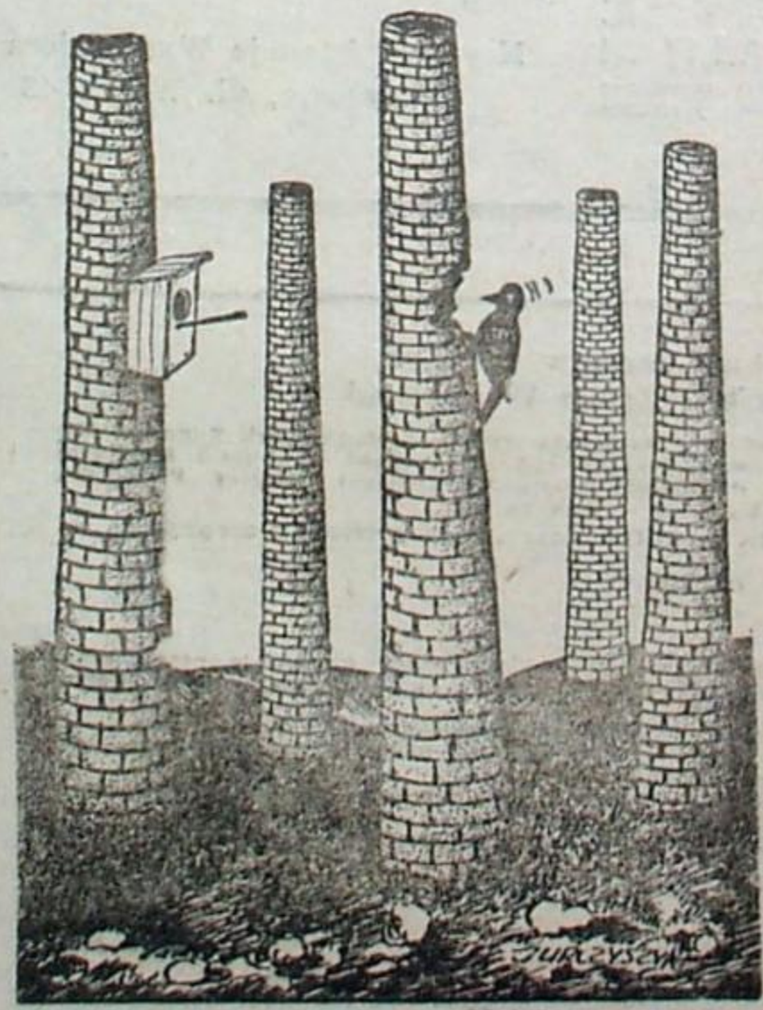

Rys. J. Jurczyszyn

Rys. W. Fuglewicz